INWAZJA
FALA
MIŁOSZ
WYDANIE
SPECJALNE
DZIAŁU
ZEW
CTHULHU

Redaktor prowadzący:

Ulmo

Skład i łamanie:

Ulmo

Szata graficzna:

Ulmo

Specjalne podziękowania:

Piotr "Rust" Cieśliński,
Agnieszka Gwóźdź.

Kontakt:

http://www.inkluz.pl/
redakcja@inkluz.pl

Autorzy:

Miłosz Brzeziński (grabarz@rpg.pl),

FALA (waver@wp.pl),

Jakub "Rork" Żulczyk (rorkboy@box43.pl),

Marcin "Seji" Segit (seji@poczta.onet.pl),

Szy (szy@forcom.pl),

Ulmo (ulmowski@wp.pl).

Ilustracja na okładce:

Piotr "Rust" Cieśliński (jereney@poczta.onet.pl)

Ilustracje wewnętrzne:

Paweł Kłopotowski (pawklo@poczta.onet.pl)

Wojtek "Condrad" Kondradzki (condrad@wp.pl),

Mateusz "charlesmonroe" Ługowski (satis@poczta.fm),

MagGrave.

© 2002 Wszelkie zebrane w tym dokumencie materiały są własnością ich autorów. Jakiekolwiek formy powielania lub wykorzystywania, z wyjątkiem fragmentów na użytek recenzji, bez zgody twórców zabronione.

Wstępniak

Ulmo

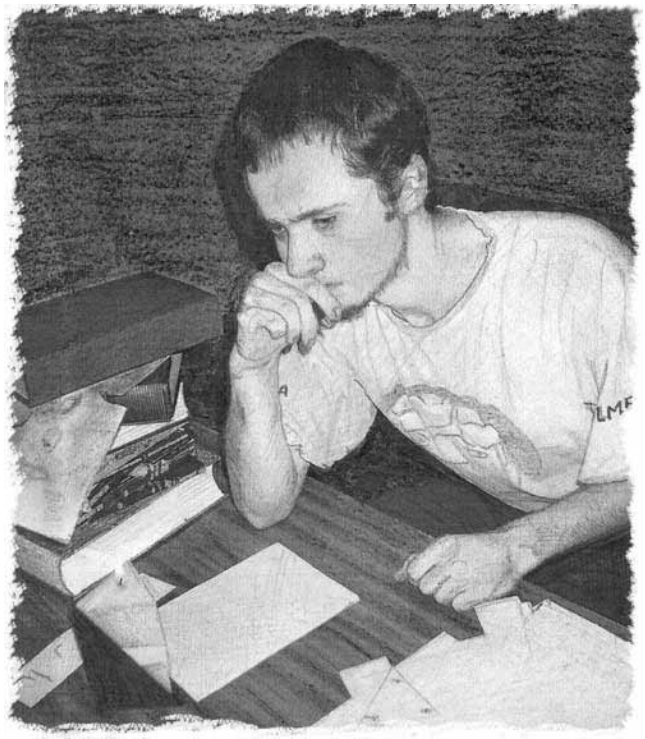

Spoglądam przez okno. Śnieg. Mróz. Wszędzie. Hieh, nie ma się w sumie co dziwić, mamy w końcu zimę. Święta - czas pojednania, rodzinnej atmosfery, radości i ciepła. To jednak też czas prezentów - ich dawania i otrzymywania.

To Wydanie Specjalne działu ZC w Inkluzie jest właśnie moim prezentem dla Was. Zamiar, do którego realizacji przymierzałem się od końca wakacji 2002. Wówczas to powstał pierwszy projekt szaty graficznej. Rozpocząłem też nieśmiałe próby "zarażenia" swoim pomysłem moich redakcyjnych kolegów. Bez większych rezultatów. Nie dziwiłem się - takie przedsięwzięcie wiąże się z bardzo dużym nakładem pracy, już nie tylko w zakresie poszukiwania ludzi do napisania tekstów, ale również rysowania grafik do tychże. Odłożyłem więc swoją wizję na jakiś czas.

Prawdziwy przełom nastąpił, gdy od rednacza dostałem list z załącznikiem, zawierającym opowiadanie... Miłosza Brzezińskiego i jego prośbę o umieszczenie w Inkluzie. To otworzyło mi odpowiednią klapkę w umyśle. Impuls. Iskra. Zapalnik. Rozpoczęła się praca nad stworzeniem tego, co macie przed oczyma.

Dziękuję Miłoszowi, Szy, Fali, Rorkowi, Seji'emu. Dziękuję Pawłowi Kłopotowskiemu, Condradowi, Mateuszowi, a w szczególności Rustowi, który bardzo mi pomógł swoimi radami, krytyką i tą cudowną okładką, dzięki której świąteczne wydanie Inkluza nabrało charakteru. Dziękuję Agnieszce Gwóźdź, za to, że pomimo wysokiej gorączki i choroby była w stanie mi jeszcze pomóc. Dziękuję też swoim rodzicom za niebywałą wyrozumiałość i cierpliwość. To dzięki Wam wszystkim, odzyskałem wiarę, że wciąż warto... Wybaczcie mi, drodzy Czytelniczy, ten nastrój i wylewność. Nie sposób jednak nie docenić pomocy tych ludzi, bez których Pracy, nie byłoby tego wydania działu ZC.

Zdrowych, radosnych i przede wszystkim, spokojnych świąt Bożego Narodzenia. Niech upłynął Wam w radosnej i pełnej ciepła atmosferze, a zbliżający się wielkimi krokami Nowy Rok, niech okaże się jeszcze lepszym od mijającego. Czego wszystkim nam sobie życzę.

Miłej lektury. Na wszelkie komentarze czekam pod adresem: ulmowski@wp.pl

Umarli nie kąsają

Miłosz Brzeziński
grabarz@rpg.pl

Warszawa, 1924

Wartościowej kobiety nie poznasz po rozmiarach piersi, ani pośladkach, ale po dłoniach - myślał Leon Bartoszewski otoczony zwartym kordonem wpatrzonych w niego dam. Te zaś przycupnęły na brzegach kanap i masywnych podłokietnikach foteli, wychylając się do przodu tak, że aż dziw, iż jeszcze nie pospadały. Sam młodzieniec siedział na krześle, stanowiąc główną atrakcję wieczoru. Na jego skroniach spoczywały dłonie Jolanty Wirskiej, która stała przed nim, zaś w nozdrza wciskała się sierść z lisiego kołnierza, spływającego z jej ramion. Lis intensywnie pachniał naftaliną. Dłonie Wirskiej - gwoli ścisłości - były suche i kościste, z wydatnymi żyłami. Opis ten pasowałby zresztą także do wielu innych części ciała starej wdowy.

- Frenologia, drogie panie - Wirska mówiła z uniesieniem - jest od dawna znana w medycynie londyńskiej. Otóż mózg rozwija się najintensywniej tam, gdzie jest najbardziej wykorzystywany. I uciska na czaszkę od wewnątrz. Ta uwypukla się, dzięki czemu wprawne oko zrazu wie z jakim człowiekiem mamy do czynienia. Spójrzcie tu, kochane...

Leon czekał aż to wszystko się skończy i będzie mógł wrócić do męskiego towarzystwa. Wirska, niedoszła gwiazda teatru, często popisywała się takimi "nowinkami" z zagranicy. A to wywoływanie duchów, a to przewidywanie przyszłości, to znów frenologia.

Tymczasem w sąsiednim salonie zgromadzili się mężczyźni. Pod oknem stał gospodarz przyjęcia, inżynier Jan Bromski. Pracował on z ojcem Leona przy odsalaniu wody na Bliskim Wschodzie. Niedawno wrócił, męczony nieco gorączkami niewiadomego pochodzenia. Pełnił dziś honory domu ponieważ zaledwie tydzień minął od śmierci starego lokaja inżynierostwa, Bartłomieja. Bromski był świetnym gawędziarzem i cała bogatsza część Pragi przychodziła do niego w czwartki na pogaduszki o polowaniach, polityce i kobietach.

- I wyobraźcie sobie - krzyczał przez łzy rozbawienia gospodarz - on w środku kawiarni przywiązuje tę kozę... Nowy świat, widzicie to panowie? Kawiarnia, damy... A on rozbiera się i wchodzi do akwarium... Wpada kelner i krzyczy, że zawoła

władze, on zaś na to, że teraz to już tylko policję rzeczną! - Cały salon ryknął głębokim śmiechem.
Spotkanie zaszczycił też obecnością rotmistrz Kowal, który jak zwykle zasiadł na wielkim fotelu, w kącie pod wypchaną głową antylopy. Impulsywny ów jegomość - jak się Leonowi zdawało - zazdrościł nieco Bromskiemu umiejętności przewodzenia towarzystwu. Wojsko było niestety pod wiecznym pręgierzem ze strony społeczeństwa i Kowal częstokroć miotał się między swoim wyniosłym statusem oficera, a przywilejami inwalidy - cztery lata wcześniej kula wystrzelona z przyłożenia strzaskała mu lewe przedramię. Kowal nie dorównywał Bromskiemu ani charyzmą, ani wiedzą o świecie. Nie raz jednak próbował zdobyć uwagę towarzystwa - bez skutku. Robił to jednak tak desperacko, że Bartoszewski obawiał się, by kiedyś nie przeciągnął struny.

Wirska przestała opowiadać. Damy klaskały i mruczały z zadowoleniem. Leon nie słyszał końcówki jej opisu, ale dowiedział się później, że oceniony został jako mężczyzna silny, zdecydowany, który osiągnie w życiu to, co chce, a także jako bardzo czuły amant i wspaniały kochanek. Ciężko o lepszy sposób, by nie móc wykaraskać się z towarzystwa dam na resztę wieczoru. Młodzieniec podejrzewał jednak, że to głównie sama Wirska miała ochotę na jego towarzystwo.

Niespodziewanie z odsieczą przyszedł jednak sam Bromski, który zaproponował gościom obejrzenie bardzo rzadkich okazów przywiezionych z ostatniej wyprawy. Inżynierowa zagasiła światło i zza aksamitnej kotary przy oknie wyprowadzono wielki stół. Na jego blacie ułożonych było kilkanaście przedmiotów - wszystkie przykryte czarnymi chustami. Towarzystwo wydało jęk tłumionej ekscytacji. W mroku tliły się tylko dwie świece i czerwone punkciki żaru papierosów oraz cygar.

Pośrodku stołu spoczywał największy z przedmiotów i choć nie powiedziano tego głośno, nikt nie miał chyba wątpliwości, że jest to ludzkie ciało.

Tę atrakcję inżynier zostawił jednak na koniec. Najpierw odsłaniał misy z biżuterią, kamiennymi tablicami i naczynia z rzeźbieniami tak delikatnymi, że nie do wiary było ile pieniędzy wziąłby dziś złotnik za ich wykonanie. Były też wypchane zwierzęta: ibisy, czerwonaki, susły - Bromski śmiał się, że wszystkie zabił w obronie własnej. Wreszcie na stole nie zostało nic poza "ciałem". Leon odsunął się, by lepiej widzieć reakcję dam na to, co zobaczą. Przywożenie mumii z Egiptu było ostatnio modne w Anglii i Francji. Leon zawsze w takich sytuacjach przypominał sobie sentencję swojego wuja "Uczyć się tylko od mądrzejszych. Jak Paryż dorówna nam liczbą teatrów, dopiero będziemy tam chodzić po nauki.". Tymczasem jednak to my czerpaliśmy mocno z mód francuskich.

- A teraz - zaczął inżynier - *ladies and gentleman, clou* wieczoru, że tak powiem. Na pewno zdziwi was to, co zobaczycie. Być może poczujecie obrzydzenie. Ale wiedzcie, że w wiosce, w której mieszkałem swego czasu jest to obrządek po dziś dzień stosowany. Tak żyją ludzie na świecie, kiedy my tu pławimy się w rozkoszach cywilizacji.

Gospodarz odczekał chwilę, wpatrując się pilnie w oczy wszystkich gości. Pokiwał głową i odstawił kielich z winem.
- *Attention, please!*
Materiał opadł i oczom zebranych ukazał się widok niesamowity. Tego nie spodziewał się nawet sam Bartoszewski. Dwie damy zemdlały, zaś trzecia wpiła się palcami w ramię młodzieńca tak, że myślał, iż chce mu wyrwać obojczyk. Na stole leżało ciało Bartłomieja - niedawno zmarłego lokaja Bromskich.

Było w nim jednak coś dziwnego. Leon zbliżył się do stołu, niechcący pociągając za sobą panienkę, która wciąż trzymała się kurczowo jego garnituru. Nie było to ludzkie ciało, a jego doskonały posąg wykonany w glinie. Tak doskonały, że aż dziw - oddano każdą zmarszczkę, a nawet myszkę na prawym policzku, pod okiem.
- Proszę się nie bać! - krzyknął inżynier Bromski, otrząsając nieco zahipnotyzowane audytorium. - To tylko figura z piasku. Tylko... - zawiesił głos - a może aż!
- Ależ... Tak nie można! - jęknęła z oburzeniem jakaś dama.
- Można, rzekłbym i trzeba! Ludzie Pustyni używają do jej sporządzenia specjalnego piasku, twierdząc, że każdy człowiek powinien po śmierci mieć swoją figurę, by przez nią wrócić i pomagać rodzinie. Bartłomiej był dla nas jak rodzina i sporządziłem mu tę figurę z piasku, którego przywiozłem zresztą wiele. Kto wie! Może i u nas zwyczaj ten się kiedyś przyjmie? Jak na razie jednak dobrodziej Barłomiej ani myśli wstawać do pomocy, ale... - inżynier spoważniał - może pani Wirska spróbowałaby tchnąć ducha w tego naszego sfinksa?
- Cóż za zuchwałość - obruszyła się wdowa.
- Panie Leonie niech pan jakoś... no... zareaguje!

Leon spodziewał się, że damulka czyhała tylko na moment, by oddać się pod jego ochronę.
- Jak udało się panu tak dokładnie...
- Wymyślny - przerwał mu rotmistrz Kowal, który dotąd stał w kącie, w cieniu wielkiego fikusa. - To, co pan tu robisz, to zwykłe barbarzyństwo! Zakłócanie spokoju zwłokom... No powiedzcież państwo... Gdyby któregoś z was tak po śmierci pokazywano na stole, przy cygaretkach i winie. Toż bym... - Kowal zacisnął zęby i z pewnością uderzyłby w stół gdyby tylko jakiś znajdował się w zasięgu ręki.
- O, *mister* Kowal - trzeba być otwartym na świat. Ten bowiem ciągnie się znacznie dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Paweł Kłopotowski

Leon wziął głęboki wdech, licząc na to, że stary oficer nie dostrzeże zaczepki. Tym razem Kowal błysnął jednak intelektem, choć - trzeba przyznać - zaczepka nie była zbyt wyrafinowana.
- Pijesz pan do mojego kikuta? - warknął. - Ożbyś... Nie puszczę tego!

Reszta rozegrała się nad wyraz sprawnie. Wyznaczono zastępców, Bartoszewskiego na sędziego, a termin pojedynku na kolejny dzień - piąta rano.
Leon postanowił ustawić wszystko tak, by nic się nikomu nie stało. Od razu zaproponował więc karkołomną odległość i strzał z broni krótkiej - pojedynkowej - do pierwszego zranienia, które oceni sędzia. Na broń białą nie chcieli się zgodzić, a szkoda. To był w zasadzie koniec przyjęcia.

Bartoszewski wyczytał w Kurierze, że w ciągu ostatnich lat odbywało się średnio czterysta pojedynków polskich oficerów rocznie. Kwiat wojska ginął w barowych utarczkach i przygodnych kłótniach. Spuścizna po zaborach.

Kiedy podjechał na swoim BMW R32 do wyznaczonej na błoniach polany, wszyscy już czekali. Byli goście wczorajszego spotkania i parę innych osób, które przyszły po prostu popatrzeć, tak jak chadza się na krycie konia, czy chadzano na egzekucje we Francji w czasach rewolucji. Leon postawił motocykl pod rozłożystym klonem i odpiął spinki z nogawek spodni.

- Czy wszyscy gotowi? - Jedną ze spinek schował do kieszeni, a drugą, ozdobną, upiął krawat. Nikt nie odezwał się słowem. Leon odsunął gapiów na bezpieczną odległość. Kowalowa chlipała w haftowaną chusteczkę. Jej mąż zaś oglądał w skupieniu broń, z której zaraz miał wystrzelić. Odmienną postawę reprezentował inżynier Bromski - zabawiając damy dowcipami i historiami o polowaniach królów polskich, kiedy to para miłościwie panujących zasiadała w altanie w Białowieży, a naganiacze przepuszczali im dosłownie przed nosem w tę i nazad specjalnie zwiezione okazy zwierzyny. Królowa z rzadka odrywała się od szydełkowania, podnosiła do skroni nabitą broń i strzelała łaskawie do dzików czy jeleni. Ubity zwierz szedł w setki sztuk. Leon byłby gotów się założyć, że rotmistrz traktuje te historie jako osobisty przytyk, co potęguje tylko jego gniew.

Wśród tłumku otaczających inżyniera gości, Bartoszewski wypatrzył także młodą damę, której dłoń poprzedniego wieczora pozostawiła siny ślad na jego ramieniu. Ocenił jej osobę pobieżnie i w myślach zaczął szukać pretekstu do dłuższej konwersacji.
Tymczasem rozstawiono obu pojedynkujących się, ustalając zasady, że honor zwraca, albo prawdę przyznaje pierwsze zranienie, które oceni sędzia w obecności zastępców. Obaj panowie stanęli naprzeciw siebie i wymierzyli broń. Jako pierwszy strzelał rotmistrz Kowal.

Wszyscy zamilkli i słychać było tylko dalekie trele trznadli. Cały czas uśmiechnięta twarz inżyniera na chwilę zgasła wobec wycelowanej weń lufy, jakby zrazu zdał sobie sprawę, że nie uczestniczy w radosnych zabawach, a za chwilę kula może przynieść mu tragiczny koniec.

Padł strzał, a zaraz po tym garść przekleństw jakiej nie powstydziłby się sam Lucyfer w dniu strącenia do piekieł. Echo jeszcze nie umilkło wśród błonia, kiedy było wiadomo, że rotmistrz chybił. Twarz jego oponenta rozjaśniła się nagle. Bromski uniósł broń i wypalił niemal bez celowania. Tym razem coś się stało. Kowal wyrzucił swój chory kikut, jakby w geście potwornego bólu, skrzywił się i osunął na pień brzozy. Jego żona, Danuta, zsunęła się natomiast w ręce najbliżej stojącego młodzieńca.

Wszyscy natychmiast zgromadzili się wokół przegranego i nim Bartoszewski dotarł niego minęła dobra chwila. Kowal leżał w kałuży krwi, usmarowawszy już czerwonymi smugami całą podstawę drzewa. Młodzieniec wiedział jednak, że krew jest świetnym barwnikiem i zwykle wydaje się, że jest jej znacznie więcej, niż wygląda, stąd metodycznie rozsunął stłoczonych gapiów i jął szukać rany. Okazało się, że kula przeszła przez sam koniec bezwładnego końca lewej ręki rotmistrza. Ten zaś wciąż klął na czym świat stoi, wysyłając swój bezużyteczny kikut to do carskich więzień, to znów na pustynie Afryki.

Bartoszewski ogłosił werdykt i podano sobie ręce. Rana była niegroźna, ale dokuczliwa. Przegrany wsiadł więc bez słowa do swojego samochodu, czekając na żonę, która zniknęła gdzieś w gąszczu berberysów.
- Że też kobiety muszą odstawiać ten cały teatr - mruknął pod nosem Bartoszewski, który bardzo chciał już znaleźć się w domu i spokojnie dokończyć lekturę "Teoryi jestestw Organicznych" Jędrzeja Śniadeckiego z 1811 roku, która choć zestarzała się już bardzo, wciąż dawała do myślenia.
- Jaki teatr? - Nie zauważył nawet gdy młoda dama, którą obserwował ukradkiem podczas pojedynku pojawiła się tuż przy nim.
- Taki... - zamyślił się, bo w międzyczasie zapomniał już, co właściwie miał na myśli. - Taki właśnie. Omdlewanie. Rozumiem, że dwieście lat temu kobiety sznurowały się w gorsetach tak ciasno, że prawie nie mogły oddychać. I wtedy, w chwilach zdenerwowania, kiedy nie można było wziąć głębszego wdechu, owszem, mdlenie było całkiem na miejscu.
- A kościoły? - przerwała myśl dama
- Kiedyś bito w dzwony, bo chłopi nie mieli zegarków i mogli się spóźnić na mszę. To po co dziś biją, skoro i tak każdy wie która godzina?
- Kwestia tradycji. Zupełnie co innego.
- Jak się pan dobrze zastanowi, wyjdzie dokładnie na to samo.
- Nazywam się Leon Bartoszewski, do usług. - Czas przejść do drugiego etapu znajomości. Ciotka zawsze powtarzała "Leonciu: jeśli znajomość kobiety i mężczyzny za długo się nie rozwija, mogą sobie o nim co brzydkiego pomyśleć!". Reguła ta wyryła się złotymi zgłoskami w jego pamięci.
- Maria Brochacka, miło mi. Gratuluję sprawności z jaką opatrzył pan ranę rotmistrza Kowala. Jest pan lekarzem?
- Raczej biologiem i podróżnikiem. Takie umiejętności przydają się w podróży.
- I wszędzie - wskazała na motocykl Leona - podróżuje pan tym jeździdełkiem?
- Wolę moje "jeździdełko", niż samochody, w których muszę wozić kilogramy instrukcji obsługi i części zamiennych.
- O, myli się pan, mój papa nabył

ostatnio mercedesa. Model prosto z garażu, wprowadzono bowiem zasadę, że każdy kierowca po przejechaniu tysiąca kilometrów może oddać swój wóz i odebrać zupełnie nowy, za dodatkową opłatą jedynie pięciuset złotych.
- Nieprawdopodobne - postanowił zakończyć tę grę Bartoszewski. - Może faktycznie pomyślę nad zmianą środka transportu. A czy nie zechciałaby mi pani przedłożyć kilku jeszcze zalet tego typu zamiany... Dajmy na to dziś o osiemnastej, zaprosiłbym panią do kawiarni?
- Proszę się nie spóźnić. Mieszkam na Długiej, ostatni dom po lewej.
- Miło mi - odparł Leon, nieco zawiedziony łatwością rozgrywki - będę na pewno.

Kiedy odpalał motocykl, na polanie nie było już prawie nikogo. W zasadzie został tylko on, dwie nieznajome osoby i samochód Kowala. Obok pojazdu przechadzał się czerwony z wściekłości właściciel. Wciąż jednak nie było widać jego żony. Rozsądek zwyciężył jednak ciekawość i gdy BMW tylko zaskoczył, Bartoszewski ruszył do domu, unikając kontaktu z oficerem.

W domu zdrzemnął się nieco, a potem rozpoczął przygotowania do wieczornego wyjścia. Motocykl wymagał domontowania dodatkowego siodła. Na pracy spełzł mu cały dzień.

Jakież było zdziwienie Leona, gdy ledwie wjechawszy w ulicę Długą spostrzegł Marię Brochacką biegnącą w jego kierunku, w domowej koszuli i szerokich spodniach. Bynajmniej nie był to strój, w jakim chciał widzieć swoją partnerkę w kawiarni.

- Szybko! - wysapała sadowiąc się w drugim siodle, z którym mocował się całe przedpołudnie. - Dzwoniła Kowalowa! Coś się stało z Karolkiem!
Karolek był cherlawym synem rotmistrza. Leon pamiętał go ze wspólnych wyjazdów towarzyskich, na których nieodmiennie nudził się przez całe dnie, nie mając towarzystwa w swoim wieku.

Po chwili byli już na miejscu. Maria ruszyła przez furtę i ogród, wprost do domu. Leon ustawił motocykl pod płotem i wszedł w próg tuż za dziewczyną. W środku zastali opłakany widok. Pośród zakrwawionych ścierek i szmat klęczała matka Karolka, Danuta Kowal podtrzymując głowę dziecka. W promieniach zachodzącego słońca jego skóra przybrała zdrowy, różowy odcień, ale Leon widział, że stężałe mięśnie twarzy i sine usta wskazują raczej na to, że niewiele można tu zdziałać. Kowalowa wpadła w histerię i ignorowała wszelkie pytania. Sam rotmistrz siedział w pokoju obok, przed kominkiem. Był pijany w sztok i także płakał.
- Trzeba zadzwonić po karetkę! - rzuciła Maria, spoglądając na Leona.
- Nie! - Kowalowa zerwała się z podłogi. - Żadnych lekarzy i karetek. Pomóżcie mi, błagam...
Leona zamurowało.
- Co się stało? - pytanie to nic nie rozwiązywało, ale pole działania było bardzo ograniczone.
Kowalowa spojrzała na niego
- Dzisiaj na pojedynku - chlipała i jąkała się. - Kula mojego męża... A on był w krzakach... Zbierał berberys, jak mu kazałam, żeby do herbaty wrzucić...

Leon schylił się i odgarnął poły szlafroka dziecka. Pod jego prawym

obojczykiem widniała głęboka rana. Wyglądała jednak dość osobliwie i na pewno mijała ważne arterie o dobrych kilka centymetrów.
- To nie jest rana od kuli - zaczął ostrożnie Bartoszewski.
- A od czego? - zapytała Kowalowa.
- Nie wiem. Ale jej brzegi... Krawędzie...
- Ach, bo próbowaliśmy wyjąć kulę nożem. Znaczy Walery, bo ja poszłam wtedy, żeby nie patrzeć.
- I co? - Zapytała tym razem Maria.
- I nic. Kiedy wróciłam, Karolek już się nie ruszał.

Leon dokładnie przyglądał się ciału. Dotknął nosa, a potem zajrzał w rozchylone usta martwego dziecka.
- Współpracowałem kiedyś z policją, przy jednej czy dwu sprawach, jako specjalista od zoogenicznych śladów na zwłokach i dałbym głowę, że ta rana nie jest śmiertelna, a sam Karolek zmarł w wyniku utonięcia.

Rotmistrzowa zamarła. Na chwilę przestała płakać. Leon podniósł wzrok spoglądając na nią z nieukrywanym zainteresowaniem.
- Karolek podobnież z bólu wyrwał się Waleremu i rzucił przed siebie. Usłyszałam krzyk męża, by szukać Karolka i widziałam kaczki, które przestraszone czymś, zerwały się do startu i biegły po wodzie. Poszłam tam, ale okazało się, że Karolek za słaby był, żeby się utrzymać na powierzchni. Widać za dużo stracił krwi, czy jak...

Leon podniósł się i otrzepał spodnie.
- Co zamierzacie?
- Trzeba powiedzieć policji - zauważyła Maria, ale Leon nie odrywał wzroku od Kowalowej.
- Nie wiem - wyszeptała kobieta.
- Mąż nie pozwolił mi nic robić do jutra. Skoro Wy nie możecie pomóc... Trudno. Ale ktoś za to zapłaci - dodała tak cicho, że Leonowi wydawało się tylko, że cokolwiek słyszał.

Młodzieniec odwrócił się na pięcie i opuścił dom rotmistrzów bez słowa. Zaraz za nim podążyła Maria.
- Byłam pielęgniarką przez jakiś czas. Stąd Kowalowa dzwoniła do mnie. Nie chciałam tego mówić, ale wszystko wyglądało bardzo dziwnie.
- Niech robią co chcą - Leon przed samą furtką obejrzał się na staw, którego fragment widać było zza domu. - Ale mnie się zdaje, że rotmistrz ma jakiś plan i dlatego zmusił żonę do kłamstwa.
- Do kłamstwa?!
- Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Począwszy od postrzelenia, utonięcia, a na kaczkach skończywszy. Kaczki nie biegną po wodzie, żeby wystartować. Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.
- Muszę się napić wódki - skwitowała Maria.

Leon znał odpowiedni lokal, gdzie nie zwraca się zbytniej uwagi na klientów. Bywał tam czasem Leśmian. Jego drobną sylwetkę często widywał w kącie sali. Powiadało się: "Przed próg zajechała pusta dorożka i wysiadł z niej Leśmian". Oby dziś nie było wielu osób. Leon chciał mieć spokój.

Kolejne dni upłynęły Bartoszewskiemu na lekturze książek i wysyłaniu zaległych listów do przyjaciół.

W środę sięgnął po Kuriera i wyszukał nekrologi. Pogrzeb Karolka odbył się dwa dni temu, a w gazecie ani śladu żałoby ze strony rodziny, czy znajo-

mych. Przerzucił stronę w poszukiwaniu instruktora jazdy samochodem. Umówił się z Marią, że pożyczy od niej Mercedesa i na nim będzie się szkolił. Każdy pretekst do przedłużenia znajomości był dobry.

Zabrzmiał dzwonek do drzwi. Był to listonosz z depeszą. Od ojca. Leon otworzył ją jeszcze w progu, pełen najczarniejszych myśli, szybko jednak odetchnął z ulgą.

Synu,

Wybacz ten list - wiem, że mówią, iż depesze przynoszą pecha, ale jesteś człowiekiem oświeconym, więc nie masz się czego obawiać. U mnie wszystko w porządku. Piszę w innej ważnej sprawie, a mianowicie sprawie piasku, który zabrał ze sobą do Polski Janek. Miałem mu tu wyszukać opis obrządku, wedle którego używa się owej gliny. Nie było to łatwe i teraz wiem już dlaczego.

Obrządek ten został zakazany piętnaście lat temu, jako przynoszący zło do domu, w którym jest odprawiany. Tutejsi wierzą, że dzięki piaskowi duch zmarłego wraca do świata żywych, by dokończyć wszystkie niedokończone dzieła. Przekaż to Bromskiemu, ponieważ bardzo mu zależało na takiej sensacyjnej informacji właśnie. Cisnął mnie i cisnął. Wybacz, że piszę do Ciebie, ale wszystkie adresy poplynęły w moim notesie wraz z ostatnią powodzią. Na szczęście nasz domowy znam na pamięć. Pozdrów towarzystwo i zapal lampkę u mamy.

Całuję,
Tato.

Leon przeczytał depeszę powtórnie i jeszcze raz, po czym powoli włożył ją do koperty. Chwycił za telefon, a następnie wybrał numer inżyniera.
- Bromski przy aparacie - odezwał się głos z drugiej strony.
- Panie Janie... - zaczął Leon, chcąc z początku zagaić jakoś rozmowę, ale zmienił zdanie. - Dostałem depeszę od Ojca, w sprawie, którą się Pan interesował.
- Doprawdy? A w której sprawie konkretnie?
- Piasek, który przywiózł pan i z którego gdzieś tam robią te figury.
- Ach, słusznie. Może zechcesz przyjść w odwiedziny i opowiedzieć mi co nieco. Chętnie ugoszczę Cię rewelacyjną *whiskey*, nie jesteś już przecież młokosem, ha?
- Cudownie! Z przyjemnością będę. Ale, ostrzegam, nie będzie pan pocieszony...
- O, dlaczegóż to... Był u mnie w południe Kowal i kupił cały worek piasku. Znakiem tego tradycja powoli się przyjmuje, prawda?
- Co? - Leon oniemiał. - Kowal? Co powiedział?
- Nic. Kupił i poszedł. Acha i zaprasza wszystkich na jutrzejsze przyjęcie, na którym ma pokazać coś niesamowitego.
- Jakie przy... Do widzenia. Może wpadnę później. Dziękuję.

Leon spojrzał w wielkie kryształowe lustro wiszące w przedpokoju. Jego oczy zwęziły się w szparki, a zaciśnięte usta zaczęły drżeć.
- Powiesił się Żyd dla towarzystwa - wycedził przez zęby. Po drodze do drzwi złapał depeszę od ojca i wsunął ją do kieszeni.

ZEW CtHULHU

Ars Poetica

W ogrodzie Kowalów panowała kompletna cisza. Dwa czy trzy pasikoniki kończyły właśnie swój wieczorny koncert.
- W domu też ciemno - zagadnęła szeptem Maria.
- Nic nie mów - syknął Leon. Zabrał ją tylko na wypadek, gdyby Kowalowi przyszło do głowy coś głupiego. Dwie osoby, to nie jedna.
- Dlaczego? Chyba nikogo nie ma.

Faktycznie. Bezwietrznej nocy nie mącił ani jeden dźwięk. Tylko ich kroki na żwirowanej ścieżce wiodącej do domu. Zajrzeli przez okno. Gdzieś zapalona była świeca i poświata jej migotliwego blasku pełzała leniwie po ścianach i futrynach drzwi.

Wtem dał się słyszeć dźwięk, jakby ktoś przesuwał wielką granitową płytę po drewnianej podłodze, na której wysypano piasek. Dźwięk powtórzył się kilkukrotnie i zamarł dokładnie w momencie, w którym Maria wzięła głębszy wdech. Było jednak niemożliwym, by ktoś wewnątrz ich usłyszał.

Leon schylił się i podszedł do okna. Otworzył je delikatnie, a następnie wsunął się do środka. Na parapecie stały suszące się garnki i talerze - omal nie zrzucił jednego z nich. Gdy podniósł wzrok tuż przed nim stała czarna postać. Uniosła dłoń. To Maria.
- Drzwi były otwarte - pisnęła nieśmiało.

Leon zszedł z parapetu.
- Świetnie.
Razem ruszyli do przedpokoju, a potem do salonu. Pod ich stopami zachrzęścił piasek i w tym samym momencie przez domostwo poniósł się jęk drewna, jakby ktoś obciążył je wielką masą. Dźwięk dochodził z drugiego końca domu. Tymczasem Maria i Leon byli już w salonie, gdzie na stole ustawiono świecę, a obok wielką glinianą misę wypełnioną błotem.

Pod stołem znaleźli trupa Danuty Kowalowej. Na jej piersi wykwitła ciemna plama, która w słabym świetle świec wydawała się zupełnie czarna. Wyglądała groteskowo - jakby ktoś wyrwał jej kawałek ciała i wypełnił to miejsce smołą. Opodal, oparte o ścianę znajdowały się zwłoki jej męża. W zaciśniętej dłoni trzymał rewolwer. Miał na sobie spodnie i buty, zaś koszula leżała złożona na fotelu. Na nagim torsie mężczyzny nie było widać żadnych obrażeń. Leon przyjrzał się szyi. Dostrzegł na niej nieregularną siną obwódkę, szeroką na kilka centymetrów, a w niektórych miejscach przylegające jeszcze do skóry drobne kamyczki i piasek. Jakby ktoś zrobił kleszcze ze żwiru i spoiwa murarskiego, a nimi zadusił rotmistrza Kowala. Albo to jego żona - okazało się, że miała dłonie umazane w glinie.

Leon zaczął się wycofywać do drzwi. Maria już przy nich była. Wyszli do ogrodu, by znaleźć się nad brzegiem stawu. Znów było zupełnie cicho.
- Pozabijali się nawzajem? - Zapytała nieśmiało. W jej głosie kryła się nutka niezdrowego podniecenia.
- Tak - Leon ocknął się z zadumy i ruszył w kierunku jednego z okien domu Kowalów. Zajrzał przez szybę. Pod ścianą zapewne stało łóżko, tak jak je pamiętał i konik na biegunach, i zegar z kukułką. Pośrodku zaś wielki stół z przystawionym doń krzesłem o rzeźbionych poręczach w kształcie główek sokołów. Leon widział to

MagGrave

wszystko oczami wyobraźni. Wiele razy żal mu było nudzącego się Karolka i przychodził do niego podczas hałaśliwych przyjęć. Teraz jednak było tu cicho i ciemno. Na stole zaś spoczywał masywny kształt. Bartoszewski nie widział go dokładnie, wystarczył mu jednak wyraźny kontur na tle ściany oświetlonej promykiem świecy z salonu. Wpatrywał się weń chwilę. Nagle kształt jakby delikatnie się poruszył, ale ciemność i światło świecy często płatają takie figle.

Odwrócił się i wyszedł z ogrodu na ulicę, gdzie czekała Maria. Ruszyli w kierunku centrum miasta.
- Nie bałam się, wiesz?... - zaczęła rozmowę.
- Widziałem - odparł Leon, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.
- I co zrobimy?
- Rzekłbym, że wszystko, co było konieczne już się odbyło. Resztą zajmą się odpowiednie służby.
- Sądzisz, że to zemsta zza grobu? To by było ekscytujące, prawda?
- *Mortui non mordent*.
- Co to znaczy?
- Że nie chcę już o tym rozmawiać.

Maria zamyśliła się.
- A może raczej nie powinniśmy... Co pijesz? - Objął jej talię.
Cichy ogród i staw zniknęły w ciemności za nimi.

ZEW CtHULHU

Ars Poetica

Musides Oida! CIDA! Kalos

Śnię... Teraz. Jakbym płynęła. No wiesz, w tym śnie... Tu jest tak pięknie... Boję się, że mnie znów zabiorą... Nie pytaj gdzie... To dlatego wciąż śpię... i śnię.

Powiadają, że śmierć jest jak sen. Co jednak, gdy to sen umiera? Czy zabijamy tym śmierć?

Nie uwierzysz, widziałam je, widziałam to drzewo... Tak, byłam tam. Byłam w Tegei.. Widziałam willę, a raczej to, co z niej zostało...

Już nie pamiętam jak znalazłam się wewnątrz. Ta cisza... Wszędzie gruz i pył. Bałam się jak cholera, ale strach to nie wszystko. Było coś jeszcze... Sama nie wiem, jakby uczucie... odkupienia? Tak, to chyba to.

Jak myślisz, czy drzewo może być trwalsze od kamienia? Weź do ręki skałę i uderz w pień. W tej walce wygrany może być tylko jeden, ale gdy damy drzewu czas, gdy tylko pozwolimy mu rosnąć, wgryzać się w ziemię, wówczas to ono będzie zwycięzcą.

Samotność... Nawet we własnych snach jestem sama. Teraz też. Wędruję wśród niemych, niedokończonych posągów z kamienia... Ich twarze nie wyrażają niczego. Są... martwe. Śmieję się sama do siebie - przecież one nigdy nie były żywe!

"Jesteś pewna?" - to nie były moje słowa... "A czy Ty żyjesz?" - pokaż się, kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś! "Myślisz, więc jesteś? Śmiechu warte!" - zamknij się! "Śnisz, więc..."

Biorę do ręki mały kamyk, fragment marmuru: dużo tu tego leży. Przymierzam się... Rzut jest cudowny. Widzę jak skacze po tafli jeziora. To morze? Jakie to ma znaczenie? Kamyk i tak tonie, prawda?

Nie ciekawiło cię nigdy jak umierają artyści? Oni przecież inaczej widzą świat. Spoglądają nań wszakże przez pryzmat Sztuki. Jeśli więc odchodzą, to czy wraz z nimi nie ginie także Jej część?

Zamilkł. Ten głos. Już go nie słyszę. Śnię, więc co??? Niech będzie przeklęty! Ten dom, te posągi, ta cisza, ten głos, ten gaj oliwny...

Gaj... To właśnie tutaj znajduje się... Drzewo. Bez ruchu, zamarłe w milczeniu, skrywające Tajemnicę.

Podchodzę bliżej, próbuję dotknąć pękniętej, marmurowej płyty. Jest zimna, wręcz lodowata. "Wśród życia złączeni, po śmierci sprag-nieni" - szept. Cichy. Odruchowo cofnęłam rękę. Co to może znaczać? Czy to ten sam głos?

Śnię, więc... Zaraz, przecież... Wiem! Wiem! Ja...

Frag MEN ty

Nie jesteśmy tymi, którymi staramy się być

Teksty: Ulmo

Grafika: Mateusz "charlesmonroe" Ługowski

Inspiracja: "Drzewo", HPL

Bal w Astorii

Szy

szy@forcom.pl

Tyle światła dawno nie było w Mieście. Delikatnie zdobiona fasada budynku, piękne kryształowe okna, ciężkie purpurowe flagi zwisające w bezruchu z pozłacanych anten, portierzy krzątający się w swoich ciemnozielonych strojach ze złotymi wypustkami na pagonach, migoczących w światłach reflektorów jak stado maleńkich rybek pluskających wesoło w błękitnych wodach skąpanej w słońcu laguny. Przepych i luksus kontrastujące z otoczeniem. Przez dłuższą chwilę stałem wsparty o jedną z gazowych latarni i przyglądałem się ludziom wysiadającym z limuzyn podjeżdżających pod oszklone drzwi hotelu. Futra i smokingi. Skóry i pióra. Całe zoo na rękach, nogach, głowach kobiet, które przybyły na ten bal. Kobiet kryjących twarze pod ceramicznymi maskami ptaków. Nagle znalazłem się w Wenecji ogarniętej ogniem karnawału. Feerie świateł tańczących wraz z kolorową rzeką ludzi w wąskich kamienistych uliczkach, tęskny śpiew gondolierów pieszczący fale *del Canal Grande*, pochodnie drżące pod dotykiem delikatnych dotyków wieczornego wiatru i wypełniony tłumem plac Świetego Marka. Sam czułem niemal muśnięcia bryzy na policzkach, chciałem ruszyć w wir splątanych w tańcu ciał, utonąć w karnawałowym szaleństwie. Musiałem wejść do środka.

Ruszyłem w stronę wysokiego starszego człowieka w zielonym uniformie układając w głowie zmyśloną naprędce historyjkę. Ten tylko spojrzał na mnie, ukłonił się i wręczając wyciągniętą nie wiadomo skąd maskę zapraszającym gestem wskazał na wejście. Zdumiony nie zdołałem wykrztusić z siebie ani słowa, a kamerdyner już przyjmował następnych gości. Otrzepałem z butów sypiący od kilku godzin śnieg i postawiłem stopę na czerwonym dywanie. Po chwili stałem przed wysokimi na dziesięć stóp obrotowymi drzwiami, które bez najmniejszego szmeru poruszyły się pod moim dotykiem. A ja wkraczałem w cudowny sen, który rozgrywał się na moich oczach.

Podbiegła do mnie młoda kobieta o włosach koloru najczystszej miedzi. Uśmiechnęła się do mnie spod maski, chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła za sobą w tłum balowych gości. Pośród zamaskowanych ludzi dostrzegłem od razu niedużego, szczupłego młodego

bruneta, który doskonale mógłby grać rolę arystokraty w takiej czy innej powieści d'Annunzia czy Dumasa. Miał czarne, jedwabiste, falujące włosy, ruchy energiczne, swobodnie rozmawiał i żartował jakby znał wszystkich. Na krótką chwilę nasze spojrzenia zetknęły się. Uniósł czarną maskę i patrząc mi prosto w oczy skłonił lekko głowę. Dziewczyna spojrzała w jego kierunku i szybko ruszyła w przeciwną stronę, zabierając mnie ze sobą. Kiedy popatrzyłem na nią, w jej oczach zobaczyłem strach. "Unikaj go. Unikaj jak ognia" - szepnęła. Wspięła się na palce, ucałowała mnie w policzek i zniknęła wśród ludzi stojących w holu.

Skinąłem na przechodzącego z tacą kelnera. Ten wskazał na butelkę *Veuve Clicquot-Ponsardin*, a kiedy przytaknąłem, podsunął mi tace. Sięgnąłem po wysmukły kieliszek wypełniony złocistym płynem i umoczyłem wargi w chłodnym, pieniącym się lekko szampanie. W dużej sali balowej już bawili się goście. Przystanąłem z boku przyglądając się parom na parkiecie. Co mnie w tym ich tańcu uderzało, to precyzyjność rytmu, staccato tancerzy. Zwarci w sobie, prowadząc swoje danserki, rytmicznie podskakiwali, mocno uderzając obcasami w podłogę. Nie wykonywali żadnych zamaszystych ruchów, tylko lewą rękę wznosili do góry, wciąż widziało się napiętą, ale opanowaną siłę i szybkość. Muzyka przybierała na sile, to cichła, jednak spośród prostej linii melodycznej można było wyłowić inne dźwięki, nie pasujące do reszty, tworzące odrębną całość. Był w niej jakiś niepokój, coś co przywoływało na myśl inne światy, budziło... czy tworzyło dziwne wspomnienia...

Dyskretny urok Miasta... Nigdy wcześniej nie słyszałem o balach wyprawianych po tej stronie. A jednak teraz czułem, jakby odbywały się od zawsze. Jakbym odkrył je nagle w szarej codzienności Miasta i na stałe wpisały się w moje życie. Nagle pojawiły się obrazy, nagle pamiętałem coś, czego nie miałem prawa pamiętać, bo nigdy się nie wydarzyło. Choć stojąc pod wyłożoną atłasem ścianą sali balowej hotelu Astoria nie byłem pewien już niczego. Jakby ta rzeczywistość Miasta istniała od zawsze. Pamiętałem jak na początku próbowałem chodzić do Biblioteki popołudniu, zwykle jednak zasypiałem nad książkami. Odczuwałem pewnego rodzaju zakłopotanie, rodzaj zawstydzenia, ponieważ nigdy przedtem podobnego życia nie prowadziłem. Nawiedzały mnie od czasu do czasu ostre wyrzuty sumienia, nie mogłem jednak obronić się przed pokusą tych zabaw. Zresztą, gdy się raz już w to koło wpadło, zaproszenia sypały się jedne po drugich, na szereg wieczorów i tańców, zapisywaliśmy to wszystko w swoich karnetach balowych, które wyglądały jak kalendarze dzisiejszych sekretarek dyrektorów banku czy ministrów - nie miałem więc sposobu wydobyć się z tej stale pracującej maszyny. Można, oczywiście, krytykować tego rodzaju folgę, tego rodzaju pobłażanie i bezsilność wobec towarzyskich temptacji, trudno jednak zaprzeczyć urokowi tych karnawałów. A kiedy wszystko się kończyło i zaczynał post, śniadania, obiady, jours fixes z petits jeux, wieczory muzykalne, rauty zastępowały bale. Zmiana w rytmie polegała na tym tylko, że w nocy się spało, a nie tańczyło, bo rauty kończyły się o dwunastej lub pierwszej. Tylko skąd ja to wszystko mogłem wiedzieć...?

Wojtek "Condrad" Kondradzki

Z tego półsnu wyrwało mnie delikatne dotknięcie. Wzdrygnąłem się, spojrzałem w tym kierunku i... Staliśmy tak patrząc sobie w oczy, jak gdyby na ich dnie można było znaleźć odpowiedź. "Miałem sen...koloru twoich oczu. Utonąłem w nim...tak jak w nich tonę." Jego niski, głęboki głos wdzierał się w mój umysł przełamując wszelkie bariery. Nie miało znaczenia, że był mężczyzną, choć nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic takiego. Kątem oka dostrzegłem burzę ognistych włosów i uchwyciłem smutek na twarzy znajomej dziewczyny, ale już było za późno. I ja utonąłem w nim, w subtelnym zapachu męskich perfum, wpatrując się w ciemnię jego oczu, w to delikatne i nieustające falowanie i bujanie się cieni na jego twarzy. Patrzyłem na tą grę świateł w kącikach jego ust. Wiedziałem, czym jest, lecz szukałem właściwego imienia, szukałem formuły, magicznego słowa, które znałem. Gdzieś głęboko we mnie kołatały słowa rudowłosej dziewczyny: "Unikaj...". Czy dotykało mnie to? Być może na początku. Lecz potem ogarnęło mnie coś więcej. Słyszałem muzykę w muzyce. Słyszałem muzykę ciszy i w rytm kryształowych odblasków na jego twarzy nawet moja dusza udała się w tan z uwolnionymi cieniami. Byłem jego. On był mój. Bez słowa pociągnął mnie na parkiet.

Nie pamietam jak długo tańczyliśmy, ale przez cały ten czas istniał tylko on. Swoją osobą wypełnił całą przestrzeń, zapełnił miejsca, w których odczuwałem niegdyś pustkę. Pokazał jak bardzo ułomny byłem w swojej niedoskonałości póki nie zjawił się on. Czułem niemal fizyczny ból każdej chwili spędzonej bez niego i nie chciałem, by w moim życiu nadeszła choć jedna jeszcze taka chwila. Wtedy poczułem wodę na swej twarzy. Przede mna stała ta dziewczyna, która pierwsza podeszła do mnie w hotelowym holu. W gwarze dźwięków i rozmów usłyszałem tylko jej głos: "Nie on. Proszę. Nie on...". Mówiła do odrażającego starca, który stał przy mnie. Na jego twarzy pokrytej siecią zmarszczek malował się gniew. Nie zwykły gniew, ale wściekłość jakiej nie widziałem jeszcze u nikogo. Skinął na kogoś i nawet nie wiem kiedy, dziewczyna zniknęła. Kiedy odwrócił głowę w moją stronę, na jego ohydnej twarzy malował się grymas przypominający uśmiech. Wyciągał z kieszeni jedwabną chustkę i zanim zdążyłem zaprotestować delikatnie przetarł moją twarz. Zapach piżma i czegoś jeszcze...

Z jednostajnego, rytmicznego odgłosu kotłów wyłonił się jego głos. Męski,

niski i głęboki, hipnotyzujący, niemal demoniczny. Słowa śpiewane w niezrozumiałym języku przeszywały na wskroś moje serce. Stałem pośrodku sali, twarzą ku otwartym drzwiom, za którymi ziała pustka. Smyczki akompaniujące soliście zeszły na niskie tony i zaczęły potęgować atmosferę. Wtedy dołączył ten drugi głos... także męski, lecz o wiele wyższy. W jednej melodyjnej frazie splotły się w magicznym uścisku tworząc coś w rodzaju modlitwy, prastarego zaklęcia. Ruszyłem przed siebie szpalerem nagich ciał roztańczonych w narkotycznym transie kobiet. Ciemna czeluść po drugiej stronie drzwi wabiła swoją prostotą i spokojem. Strach przed nieznanym walczył z pragnieniem ciszy, opuszczenia tego koszmaru, ktorego mimowolnym bohaterem stałem się tego wieczoru. Gdy dotarłem do progu, śpiew ucichł. Wtedy usłyszałem jego głos: "Przyprowadziłem ci go. Niech się stanie...". Zamknąłem oczy i wkroczyłem w ciemność.

Stałem nagi na pustyni spoglądając w upstrzony miliardami gwiazd nieboskłon. Ciepły jeszcze piasek przesypywał się nieświadomie między moimi palcami. Nisko nad horyzontem jasno płonęła Wenus, a przed sobą miałem Bramę. Olbrzymi pomarańczowy księżyc wisiał nisko nad białymi kolumnami na obrzeżach kamiennego kręgu i przyglądał mi się. Nagle poczułem, jak mój żołądek kurczy się do rozmiaru jednego z ziaren piasku, szeleszczących pod moimi stopami z każdym krokiem. Zmierzałem ku kresowi i nie potrafiłem oprzeć się głosom w mojej głowie. Nieznana siła pchała mnie w kierunku przybrudzonego ciemnymi plamami kamienia wewnątrz magicznego kręgu. Wiedziałem, że to krew, a mimo to z każdą chwilą byłem bliżej swego przeznaczenia. Dotarłem do końca. Zamknąłem oczy, by nie patrzeć. A może już ich nie miałem...? Leżałem na kamiennym bloku nie myśląc o niczym. Czułem jego ciepło.

Wiedziałem, że nie jestem już sam, że z piaskowych kolumn wyszli ludzie w maskach. Wiedziałem, że niebo pociemniało, jedynie kilka gwiazd zapłonęło mocniej. Nawet przez zamknięte powieki docierał do mnie blask symboli jaśniejących wokół kręgu. Słyszałem słowa szeptane w nieznanym jezyku i tę dziwną muzykę, której echa chodziły za mną przez cały wieczór w Astorii... wszystko to jednak przestało mieć znaczenie. Liczył sie tylko On.

A On przychodził po mnie...

Kable. Kineskopy. Łącza

Jakub "Rork" Żulczyk

rorkboy@box43.pl

FORCE THEE HAND OF CHANCE

Wydrzyj rozdział o magii ze swojego podręcznika Zew Cthulhu. Wydrzyj go, pognieć i spal - bo papier jest za śliski by podetrzeć nim sobie tyłek. Ta magia nie istnieje - jest martwa , nieaktualna, zdycha. I tak jej przecież nie używasz. Miała zastosowanie w opowiadaniach Lovecrafta, w ZC1920, które jest już settingiem martwym i wyeksploatowanym. I nie patrz tak na mnie. Tak, ja też doceniam urok i smak tych opowieści. Z tym że nie chcę w nie już grać. I ty, jeśli robiłeś to setki razy, też pewnie nie chcesz tego robić - po który raz z rzędu można czytać Arthura Conana Doyle`a czy Edgara Allana Poe?

Żyjemy w dwudziestym wieku , i chcąc nie chcąc, magia nie polega już na używaniu magicznych kryształów czy amuletów. Rytualne szaty i sztylety pokrywają się zgnilizną i kurzem w przez nikogo nie pilnowanych lamusach. To działało - ale wtedy, gdy odwoływało się do pewnej zbiorowej podświadomości, która wówczas kojarzyła działanie okultystyczne z zapachem starego pergaminu, kadzidłem, przeklętym przedmiotem. Dziś zbiorowa podświadomość jest rządzona przez media - w każdym tego słowa znaczeniu. Gniazda łączy internetowych, kable USB, ekraniki naszych telefonów komórkowych czy płyty CD-RW stały się czymś więcej niż urządzeniami czy nośnikami - stały się przedłużeniami naszych ciał.

Technika nie jest już gwałcicielem naszego naturalnego środowiska - ona stała się jego elementem. Magiczne symbole widnieją teraz nalepione na siedemnastocalowych monitorach i rooterach. Podręczniki zakazanej wiedzy nie są już oprawione w skórę, tylko zbindowane na najbliższym punkcie ksero. A magia i okultyzm już od dawna nie są unplugged. Duchy i demony czają się na opuszczonych liniach telefonicznych, w radiowych szumach zagnionych częstotliwości, na zgrywanych wielokrotnie kasetach video (pamiętasz niedawny kinowy hit - 'The Ring'? Japończycy dobrze wiedzą, co robią, demonizując i nasycając nadrealnym pierwiastkiem technikę domowego użytku... temat,

czy bardziej przerażająca byłaby mordercza płyta DVD, zostawmy na inną porę).

Magia, jako sposób świadomego wpływania człowieka na otaczającą go rzeczywistość, przeszła od czasów Lovecrafta potężne przeobrażenia - a raczej jej potoczne wyobrażenia, bo o takim tu przecież mówimy. Jak jednak zobaczymy w dalszej części tego wywodu, zwłaszcza na przykładzie ZC widać najlepiej, jak blisko obok siebie leżą mit, potoczne wyobrażenie, fikcja literacka i prawdziwe działanie.

THUS IS THEE TEE VEE

Dzisiejszy, nazwijmy go, kultysta , nie używa już różdżek i kamieni. Używa horrorów klasy B, komiksów, kaset video i dragów, czerpiąc z potężnego skarbca popkulturowych archetypów, aby za ich pomocą osiągnąć swoje cele. W chwili, gdy każdy tekst okultystyczny można ściągnąć z internetu w PDFie, wprowadzenie do ZC 2000 'bluźnierczych artefaktów' zakrawa na kpinę. Zwłaszcza, że opowiadania Lovecrafta i sama gra stała się jedną z podstaw dla prawdziwej i aktywnej w każdym zakątku świata szkoły magii - nikogo tak bowiem nie upodobali sobie jako archontów dzisiejsi magowie chaosu, jak oślizgłego panteonu Lovecrafta.

Jak wygląda teraz mag? Wyobraźcie sobie chudego, zarośniętego faceta w koszulce zespołu Coil, siedzącego w ciasnym, pokrytym kablami pomieszczeniu, wypełnionym ekranami telewizorów i magnetowidami. Facet powoli i w skupieniu przegrywa króciutkie fragmenty medialnego szumu, łącząc je w jeden unikatowy kolaż, do którego dodaje przetworzone obrazy 'białego śniegu' i zamazanych obrazów z pociętych i sklejonych taśm video. Złącza, za pomocą których połączone są poszczególne ekrany zaczynają trzeszczeć. Powoli zaczyna przepływać przez nie coś innego niż tylko zwykłe napięcie elektryczne. Pewna siła, którą trudno zmierzyć voltami, zaczyna manifestować się na ekranach telewizorów. Mężczyzna uśmiecha się - dziś wieczór się udało...

ORIGINAL PIRATE MATERIAL

Parafrazując słynne powiedzenie Williama Gibsona, dla każdej nowej szkoły magicznej pierwsza zastosowanie znajdzie ulica. Właśnie na ulicy powinna leżeć magia w nowoczesnym ZC - w rękach punków, ezoterrorystów, hackerów i wszelakiej maści freaków. Gangi okultystyczne zbierające najnowocześniejsze zaklęcia po to , aby przywołać tutaj na ziemię istoty z innego wymiaru już dawno przestały ubierać się w wytworne smokingi. Ewokacje Króla w Żółci na falach pirackiego radia, nadającego tylko od 2 do 5 w nocy. Kolejna nakładka do Winampa, której nie włączaj lepiej o 23:23, kiedy z głośników wesoło popiskuje jeszcze nikomu nie znany indsutrialny zespół Lovecraftian Child.

Nalepki, flyersy i nadruki na koszulkach mijanych w pobliskim klubie ludzi - czy nie wydają ci się dziwnie znajome? Powtarzam po raz kolejny: prowadząc ZC zabij opowiadania grozy z lat dwudziestych - są tak samo nieświeże jak cokolwiek z tamtego okresu. Zamiast tego czerp w dowolnej ilości z postmodernizmu

Ulmo

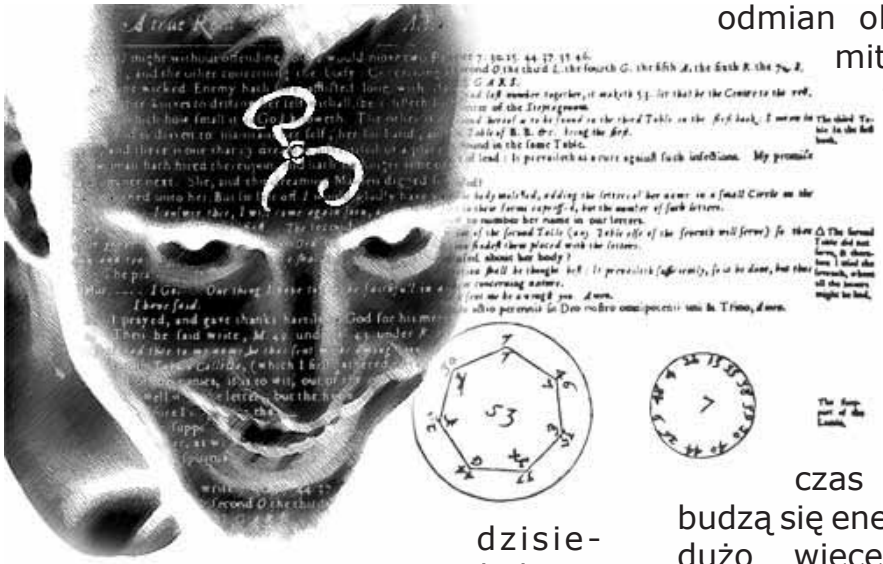

dzisiejszej kultury, tak jak wszystko, co otacza cię na codzień. Słyszałeś, że dwójka małolatów ostatnio pokroiła na kawałki swoją koleżankę, a jej krwią pokryła pomieszczenie całego mieszkania alfabetem enochiańskim? Zrobili to podobno po obejrzeniu jakiejś podrasowanej, nielegalnej , krążącej na diviksie kopii 'The Dunwich Horror'...

SEX

Tradycja magii seksualnej jest jedną z najstarszych znanych człowiekowi i do dzisiaj jest głównym prądem wielu odmian okultyzmu. Przyprawiony mitami mariaż seksu i okultyzmu jest czymś bardzo niebezpiecznym, nieodparcie pociągającym i wręcz stworzonym do tego, aby umiejscowić go w realiach ZC. Ale dzisiejszych kultystów nie bawi zwykłe tantryczne bara-bara - ze świadomością, że podczas stosunku seksualnego budzą się energie, które mogą zmienić dużo więcej niż naszą nad- i podświadomość (Wilhelm Reich nazwał to energią orgonalną) ochoczo zabierają się do zarówno bezpośredniego, jak i astralnego spółkowania z Nienazwanym.

Opisuj graczom podziemia dzisiejszych klubów, w których bogata finansjera oddaje się wyuzdanym orgiom, w których uczestniczą nie tylko istoty z tego świata. Opisz szaleńca, oddającego się niewydarzonym fantazjom seksualnym z R`lyeh w roli głównej - i te fantazje zaczynają się spełniać. Śmieszy cię to? - przestań, tylko w ten sposób zasłaniasz pruderię, którą wpoiła ci twoja mama.

DRUGS

Najpotężniejszą i najszybszą zmianę świadomości mogą ci zafundować dragi psychodeliczne - i wie o tym każdy dzieciak. Zamknijmy tutaj na spusty pruderię i kwestie prawne - jedną z pierwszych świadomych rzeczy wykonanych przez homo sapiens był potężny muchorowy trip. Jednak odbywane przez hippisiątka w latach 60. próby kwasu - olbrzymie, nafaszerowane elektrycznością, fluorescencją i światłem przedstawienia zdefiniowały na nowo w ludzkiej kulturze zarówno pojęcia narkotyku, jak i szamanizmu. Teraz wyobraź sobie narkotyki w świecie, w którym żyjemy. Imprezy techno, rodzone dzieci prób kwasu, dla wprawnego maga staną się idealnym polem bitwy dla prawdziwej astralnej katastrofy.

Wyobraź sobie specjalnie przygotowane przez kultystów 'parties', na których specjalnie wyselekcjonowane narkotyki, płyty oraz projekcje na ścianach otworzą za pomocą umysłów tańczących przejście do tego świata dla czegoś... ummm... niech-

cianego. Impreza techno jest obecnie najsilniejszą formą wspólnego rytuału w świecie zachodnim, a jej iskrząca elektrycznością siła jest dużo potężniejsza od koleżeńskiej imprezki paru zawodzących staruchów w wypełnionej książkami bibliotece. Marszczysz czoło ? Gwałcę świętości ? Ej, Randolph Carter w 'Srebrnym kluczu' nie palił raczej papierosów...

ROCK AND ROLL

Muzyka. Blackmetalowe , podziemne albumy na cd-rach ze skserowanymi okładkami , na których widać ofiary jakichś dziwnych, rytualnych morderstw. Pochodzący z serca miasta tętniący, gęsty, przyprawiony szamańskimi wibracjami hip hop, nagrywany przez ludzi pokroju Jericho One z filmu 'Strange days', Jima Crowa z 'Invisibles' czy istniejącego rzeczywiście Roots Manuvy. Przekazy podprogowe w melodyjkach midi, włączających się wraz z kolejnym pornograficznym bannerem w twojej przeglądarce.

Gdy postacie twoich graczy przemierzają miasto w ciepłą, sobotnią noc powinni nie móc się odpędzić od widniejących zewsząd plakatów zespołów inspirujących się czarną magią, okultyzmem i mitami. Gdy wejdą na taki koncert, zobaczą rozwrzeszczaną, oszalałą publiczność i muzyków, których twarze wyglądają inaczej raz za każdym ustawieniem stroboskopu... a może to tylko złudzenie ? Podobno niektórych płyt nie powinieneś włączać o określonych godzinach... a zresztą, przekonasz się sam. Na zdrowie.

DROGĄ JEST SIEĆ

Internet. Dziś kultyści się już nie kryją - egzystują na marginesie rzadko używanych łączy, bombardują z cicha IRC, Usenet i listy dyskusyjne Yahoo. Księgi z zaklęciem, którym można spętać Yog-Sothoth nie znajdziesz już na śmierdzącym i zapylonym bazarze w Egipcie - prędzej kupisz ją na E-Bayu. Do tego wspólne rytuały internetowe, ogromne bazy danych, wspólne wywoływania przeprowadzane za pomocą IRCa czy wideokonferencji... A czy przypadkiem nie dziwi cię to, że masz skrzynkę pewną dziwnego spamu, zapisanego w języku, którego twój komputer w ogóle nie może rozszyfrować ? Że czasami próbując do kogoś zadzwonić, wybierasz zły numer i dodzwaniasz się na jakąś pustą, nieuczęszczaną linię, na której martwy, metaliczny głos powoli recytuje pozornie niezwiązane ze sobą ciągi liczb ? Co czai się pod płaszczem uśpionych dawno botów, rezydujących na nie uczęszczanych przez nikogo kanały IRCowe pod dziwacznymi nazwami? Jakie duchy zalęgają sieć, kto czego od nich chce, i czy przynajmniej nie wystarczy już tylko, aby zamiast gwiazd odpowiednio ułożyła się historia stron w twojej przeglądarce internetowej?

Dzisiaj każdy może zostać magiem, a w ZC powinieneś pokazać, że to, czego twoi badacze najbardziej powinni się bać - to rozpuszczone, wychowane na grach video dzieciaki, w których rękach tkwią bardzo niebezpieczne narzędzia. Bo Oni już dawno zaczęli wykorzystywać naszą technologię, i dzisiaj to kable, kineskopy i łącza mogą postawić nas twarzą w twarz z przyprawiającym o utratę zmysłów nieznanym. Pomyśl o 'The Ring', pomyśl o 'Videodrome' Cronenberga. Projektując zaklęcia i wykorzystując je podczas gry pomyśl o tym co cię otacza. Dziś kultyści

mogą rzucać swoje fatwy za pomocą sms-ów i maili. Pamiętaj o tym, że w przeciwieństwie do realiów współczesnych, Lovecraftowy mrok nie może już nas przestraszyć - przecież wypleniliśmy go ze swojego życia. Wytworzyliśmy za to nową strefę mroku - leży ona w tych sferach techniki i mediów, które pomijamy i o których już nie chcemy pamiętać.

Na tonach komunikacyjnego śmiecia dzisiaj leży dzisiaj Niezbadane, a demony czają się w opuszczonych i pozornie uśpionych zakamarkach sieci, na skasowanych wielokrotnie kasetach video i falach radiowo - telewizyjnych. No i czy nigdy nie dostałeś głuchego telefonu na swoją komórkę? Pamiętaj - na sesji migający białawym światłem ekran monitora wprowadzi teraz dużo bardziej przerażający nastrój niż mdłe i ciepłe światło świecy. To co mroczne i bluźniercze, także idzie z prądem, i prędzej znajdziesz je na ukrytych stronach z pornografią dziecięcą, niż w zakurzonych pergaminach. Wiesz, to wszystko ma jeden atut - jeśli ten gość w R`lyeh w końcu obudzony zamruga oczętami, ty na pewno będziesz o tym wiedział. Pokażą to za godzinę w CNN.

Pamiętnik Chrisa Fostera

FALA
waver@wp.pl

Wychodzę z ciemności. Pokój. Mrok i zimno. Pode mną prycza. Obok stolik z białą kopertą na środku blatu. Snop bladego światła wdziera się prze kraty w małym piwnicznym okienku. Pytanie: co ja tu do diabła robię ?

Drzwi. Wyjść stąd. Natychmiast...

Są. Drewniane, uchylone, jakby na mnie czekały. Bije we mnie chłód z korytarza. Przeczucie mówi mi, że nie jestem tu sam...

Postać. Trzy. Nawołują się. Na szczęście to ludzie, których znam. Są tu razem ze mną. To jednak nie sen, choć wszystko wydaje się być tak nierzeczywiste. Odnajdujemy się w mroku piwnicy.

Otwieramy koperty, które były dla nas przygotowane. Cztery osoby - cztery koperty...

Do diabła. Co te odrażające znaki robią na naszych nadgarstkach ? Istne szaleństwo. Na kopertach umieszczone są identyczne. I co ma oznaczać ten dziwny tekst w każdej z nich ?

"MROK RAZ PO RAZ ROZŚWIETLAJĄ KRÓTKIE BŁYSKI. JAKBY ŚWIATŁA STROBOSKOPÓW. WŚRÓD TEGO CHAOSU ZMIENIAJĄCYCH SIĘ OBRAZÓW DOSTRZEGASZ ZARYSY POTĘŻNYCH MASZYN I MASYWNYCH KONSTRUKCJI. ZNIKĄD POJAWIA SIĘ DŹWIĘK. HAŁAS PRACUJĄCEJ MASZYNERII... KRÓTKI, URYWANY... W RYTM SKACZĄCYCH OBRAZÓW..."

Przypominam sobie mój sen. Wspomnienie powraca ilekroć zerkam na kartkę ze starannie naniesionymi literami. Dochodzimy do wniosku, że musimy stąd wyjść. Chilli odnajduje właz. Darryl po chwili jest już na górze.

Znaleźliśmy się teraz wszyscy w dziwnym pomieszczeniu. Kontrastuje z poprzednim widokiem piwnicznego korytarza. To zwykły dom. Kuchnia, salon z prostokątnym stołem i kilkoma krzesłami, kanapa, fotele, na ścianie skóra z niedźwiedzia a nad wejściem dwie flinty do polowań. Ale wszystko jak we śnie... Na stole koperta. W niej kolejny list...

Drodzy Koledzy,

Przepraszam, że nie informowałem Was o tym wcześniej, ale to miała

być niespodzianka. W dowód uznania Waszej pracy i poświęcenia nauce podczas pobytu w Szkocji, nasz tajemniczy sponsor postanowił wynagrodzić ten trud. Domek, w którym się znajdujecie jest do Waszej całkowitej dyspozycji. Bawcie się dobrze.

Z wyrazami szacunku
Mark Grace

To absurd. Istne szaleństwo. Chory żart. Ktoś, kogo zawsze uważałem za poważnego faceta, robi nam taki numer. Wszyscy jesteśmy zgodni. Niech tylko wpadnie w nasze łapy.

To nie sen. Dopiero teraz, wiedząc o co chodzi, możemy sobie pozwolić na odrobinę luzu. Przypomina o sobie głód. Ktoś sprawdza lodówkę. Jest pełna! Full wypas. Pełno piwa, wędlin, sera, wody i sałatek. Wszystkiego starczy dla czterech dorosłych facetów na tydzień czasu.

Steve odkrywa sypialnię z sześcioma posłaniami. Ja natykam się na pomieszczenie, które w zamierzeniach ma służyć chyba za łazienkę. Przynajmniej ta miska z wodą i ręczniki mają o tym świadczyć.

Chilli z Darrylem sprawdzają teren na zewnątrz. To, co mówią, nie nastraja nas optymistycznie. Pobyt tutaj jest od samego początku bardzo zagadkowy. A teraz nawet nie możemy wyjaśnić jak się tu dostaliśmy. Okazuje się, że jesteśmy w myśliwskim domku. Spadzisty dach, drewniane, solidne drzwi, szopa na narzędzia. Wszystko to otoczone, gdzie okiem sięgnąć, głuszą, zielono-brunatną plątaniną konarów, korzeni, drzew, gałęzi i liści. Żadne ścieżki, żadnego placu czy lądowiska.

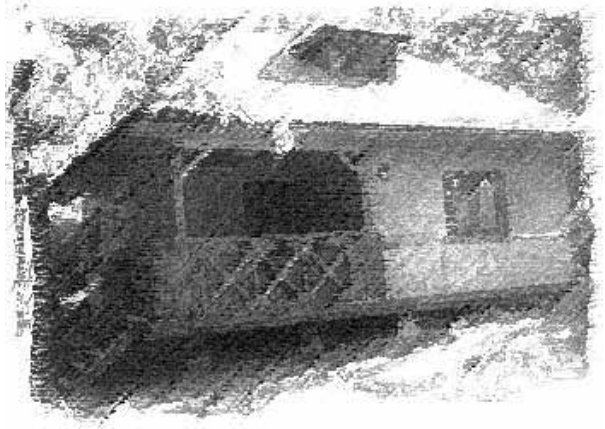

Jak my się tu dostaliśmy? Kto może nam wyjaśnić całą tę absurdalną sytuację?

Jeszcze raz starannie obszukujemy cały teren. Szopa pełna nowiuteńkich narzędzi. Ktoś rzuca ironicznie, że chyba będziemy musieli coś nimi wybudować, żeby na stąd wypuścili. Sprawdzamy ponownie piwnicę, przypominając sobie chłód.

Uciec. Uciec jak najszybciej i jak najdalej stąd. Darryl i Steve są zdania, żeby wyruszyć. Przecież coś za tym pieprzonym chaosem zieleni musi się znajdować - jakaś autostrada, rzeka czy cokolwiek. Decyzję podjęliśmy szybko. Ruszyliśmy. Po zatoczeniu kilku okręgów wciąż nic. Wokół chaty nic, prócz tego cholernego lasu.

Wracamy zrezygnowani.

Światło. Zastanowiło mnie to od jakiegoś czasu. Mamy elektryczność, więc albo jakiś kretyn zdołał przeciągnąć tu pieprzone kable, albo gdzieś w domku znajdować się musi prądnica na paliwo. I nic. Po przeszukaniu piwnicy, parteru, po kole-

jnych już oględzinach szopy i po wyprawie Chilli'ego na dach chaty żadnej prądnicy nie znaleźliśmy. Nabieram powoli pewności że śnię. Dopóki jednak będziemy się trzymać z chłopakami razem wszystko powinno się jakoś rozwikłać. Niejedno już przecież razem przeżyliśmy, więc i z tej próby jakoś wyjdziemy.

Wieczór. Jesteśmy znużeni. Mamy dość. Ciągle naładowany energią Darryl rozpruwa kilofem kawał ściany w poszukiwaniu prądnicy. Kable od gniazdka muszą przecież gdzieś prowadzić. I pewnie gdzieś prowadzą, ale Darryl nie może przecież zdemolować miejsca, w którym przyjdzie nam spędzić noc.

Ruch. Za oknem coś widziałem. Twarz dziecka. Uśmiechnięta twarzyczka małego aniołka. Z wrażenia zaniemówiłem i podskoczyłem do okna. Chyba coś ze mną nie tak. Mam majaki. Kompletny dół.

Postanowiliśmy, że jutro wyruszymy w głąb lasu. Coś wymyślimy, żeby się nie zgubić. Coś przecież musimy znaleźć. Ten domek rodem z koszmarnych snów Lyncha jest tak nierzeczywisty, że chyba od ciągłego analizowania naszej zagmatwanej sytuacji pęknie mi chyba łeb.

Zaczynam odczuwać nieprzenikniony lęk. Zagłusza go jedynie myśl o tym, że nie jestem tutaj sam. Postanowiliśmy trzymać warty. Steve na początku zabarykadował drzwi stołem, ale po jakimś czasie zrezygnowaliśmy. Uznaliśmy z uśmiechem, że popadamy w paranoję. Z drugiej strony jestem pewien, że żadnemu z nas nie wydało się to ani przez moment śmieszne.

Pierwsza warta - ja i Darryl. Pragnął dowiedzieć się czegoś o naszej - mojej, Steve'a i Chilli'ego - wyprawie do Szkocji. Nie mając nic innego do roboty, zacząłem snuć opowieść o naszej przygodach nad Loch Ness. Na samo wspomnienie tamtych chwil ciarki przeszły mi po plecach. Powrócił niepokój, który gdzieś zniknął przy wspólnej kolacji. Darryl słuchał i rysował. Jako ekscentryk fascynował mnie swoją złożonością, ale w pewien sposób odpychał mnie jego dekadencki styl bycia i ta niezłomna pewność w głosie. W końcu postanowiliśmy się trochę przespać. Zmiana warty.

Krzyk. Budzę się. Steve i Chilli w są w sypialni i próbują uspokoić pobudzonego czymś Darryla. Ten rzuca się po swoim łóżku jak marny aktorzyna, grający w tanim horrorze rolę opętanego. Ręce i nogi poruszają się jakby były prowadzone niewidzialnymi nićmi chorego operatora. W końcu uspokaja się i otwiera oczy.

Wyrwany ze snu oznajmił nam, że wszystko jest w porządku, po czym dodał jeszcze kilka zdań, które wstrząsnęły nami do głębi. Darryl opowiedział nam swój sen. W nim wciąż mknęliśmy zdezelowanym Fordem, pogrążeni we śnie. Za kierownicą wciąż siedział ten sam małomówny szofer. Sen był tak realny, a Darryl opowiedział go nam tak obrazowo, że momentalnie poczułem jak krew uderza mi do głowy.

My śnimy! Jesteśmy wszyscy w zbiorowej hipnozie, w jakimś dziwnym koszmarze. Rzeczywistość jest snem, a sen jest rzeczywistością. Nie mogłem tego dłużej znieść. Skuliłem się na łóżku, zamknąłem w sobie. Miałem dość. Chciałem się obudzić,

wyrwać z tego okropnego snu raz na zawsze. Zapadłem w ciemność.

Ranek przywitał mnie krzykami na zewnątrz. Chilli nie omieszkał pokazać nam wszystkim swego okropnego znaleziska, świadczącego o tym, że nie jesteśmy sami w tej paskudnej chacie. Twór ze związanych dziwnym sposobem gałęzi i leśnego sitowia przedstawiał dokładnie taki sam znak, jaki na nadgarstku miałem JA.

Oniemiałem. Śniłem na jawie.

Osłupiałem, kiedy Steve odnalazł kolejne znaki, których pierwowzory tkwiły na skórze naszych nadgarstków. Całe te poranne zamieszanie wprawiło nas w konsternację. Pobyt w tym tajemniczym domku w środku głuszy stawał się z minuty na minutę coraz bardziej niebezpieczny. Spotęgowało się uczucie strachu, które tkwiło w nas od pierwszej chwili, kiedy tylko otworzyliśmy oczy w owej piwnicy.

Nagły śmiech zaatakował moje uszy, wprawiając mnie w przerażenie. Świadomość obecności kogoś oprócz nas, po wszystkich tych dziwnych wypadkach wczorajszego dnia, nocy, a zwłaszcza poranka, sprawiły, że moje nerwy momentalnie puściły.
Ruch. Dziecko. Jasnowłosy szkrab

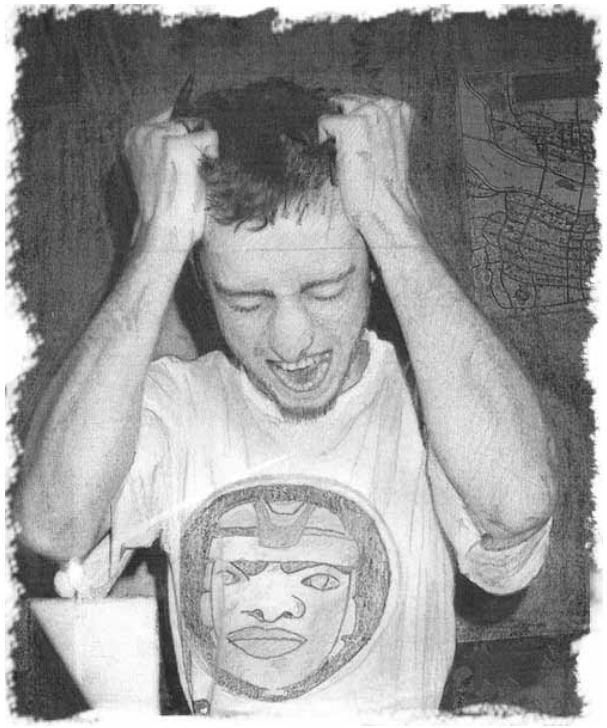

pośród drzew. Irytujący ruch, zachęcający do ruszenia za nim. Biegnę. Gałęzie biją w twarz i ręce raz po raz. Pęd powietrza. Nie mogę złapać tchu. A dziecko znika w gęstwinie. Nie! Nie mogę na to pozwolić. Jestem pewien całą moją podświadomą częścią natury, że ono jest odpowiedzią na nurtujące nas pytania, kluczem do rozwikłania koszmarnej zagadki naszego pobytu w tym miejscu.

Burza doznań. Zapach, monotonny dźwięk i widok czegoś, czego nikt z nas nie spodziewałby się w środku lasu zwalił mnie niemal z nóg. Zobaczyliśmy coś, co sprawiło, że znaleźliśmy się w stanie permanentnego chaosu myśli. Stanęliśmy jak wryci...

Z zieleni wyłonił się szereg zabudowań, porośniętych zewsząd drzewostanem i wysokimi krzewami. Kompleks wydawał się być w czymś w rodzaju symbiozy z otaczającym go lasem. Wszystko wokół pulsowało energią natury, wszystko żyło. Konary drzew, brąz, wszelkie odmiany zieleni. Wszystko splątane w jedność z żelbetonowymi ścianami. Przysiągłbym, że z samotnego komina wydobywa się gęsty seledynowy dym...

Przez dłuższą chwilę nie myślałem o niczym. Dopiero postać dziecka, którą dostrzegłem na skraju gęstych zarośli

wyrwała mnie ze stanu odrętwienia. Po chwili znikała już w czeluściach tego przerażającego budynku.
Biegiem. Nawet nie zwracam uwagi czy są za mną moi przyjaciele. Zbliżam się do ściany, do czegoś, co wyglądem przypomina wejściowe wrota. Otwieram otoczone winną latoroślą metalowe drzwi. Znów biegiem...

...MROK RAZ PO RAZ ROZŚWIETLAJĄ KRÓTKIE BŁYSKI. JAKBY ŚWIATŁA STROBOSKOPÓW. WŚRÓD TEGO CHAOSU ZMIENIAJĄCYCH SIĘ OBRAZÓW DOSTRZEGAM ZARYSY POTĘŻNYCH MASZYN I MASYWNYCH KONSTRUKCJI. ZNIKĄD POJAWIA SIĘ DŹWIĘK. HAŁAS PRACUJĄCEJ MASZYNERII... KRÓTKI. URYWANY... W RYTM SKACZĄCYCH OBRAZÓW...

Znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie. Industrialna wielkość, ogrom powierzchni usianej przeróżną maszynerią. Tryby, koła zębate, lśniące chromem rury, huk młota, zgrzyt przęseł. Wszystko w jednym momencie zlało się w całość, współgrającą w każdym możliwym szczególe jedność. Fabryka zachwycała swą rozległością i starannością rozmieszczenia w niej taśmociągów, maszynerii, służących Bóg wie do czego. Ponad nami unosiły się niemal w powietrzu przezroczyste rury, w których, jak krew w żyłach, krążył zielonkawy płyn. Pod nami płynęła czerwono-żółto-czarna plama lawy, płynnego metalu. Dziwne silosy musiały gromadzić jeszcze coś innego.

Wrzask fabryki zagłuszony został przez śmiech poszukiwanego przez nas dziecka. Jego sylwetka zamajaczyła gdzieś na końcu długiej metalowej kładki, przerzuconej przez morze gorąca.

Biegnę. Znowu. Już dłużej nie mogę. To się musi zakończyć tu i teraz. Dopadam wielkich chromowanych wrót, za którymi zniknął ten pieprzony bachor. Z impetem wpadam do środka... Błysk. Oczy palą żywym ogniem. Ciemność.

Otwieram oczy. Wciąż jadę zdezelowanym Fordem, wciśnięty pomiędzy Chilli'ego i Steve'a na tylnym siedzeniu. W ręku trzymam laptopa z zapiskami. Chłopaki też powoli się rozbudzają. Darryl trzęsącą się dłonią podpala papierosa. Ja również proszę o jednego, chociaż wcześniej w ogóle nie paliłem. Nasz samochód wtacza się powoli na znajome wzniesienie. Stąd doskonale widać panoramę małego miasteczka. Kilkaset metrów później mijamy białą tablicę z dużym, kiedyś żółtym, dziś wyblakłym napisem - **WELCOME TO ARKHAM**.

Zaciągam się głęboko...
Nareszcie wróciliśmy do domu...

Jak młody Mi-go uratował Yule
Boże Narodzenie

Marcin "Seji" Segit
seji@poczta.onet.pl

Występują:

CHÓR
MŁODY MI-GO
TRAPEZOEDRON,
BIBLIOTECZNY MI-GO
MIB
KSIĄDZ PROFESOR WEST
FHTRXMS
GWIAZDKA
NARRATOR
KRÓL W ŻÓŁCI (rola niema)
GŁOS Z OKOLIC ALDEBARANA
HASTUR (rola niema),

Scena 1

(Sala Świetlistego Trapezoedronu. Trapezoedron jest przybrany bombkami i kolorowymi łańcuchami.)

CHÓR:
Ciemno wszędzie! Głucho wszędzie! Co to będzie? Cthulhu będzie!

(Wchodzi Młody Mi-go)

MŁODY MI-GO *(do siebie)*:
Ciekawe dlaczego ludzie obchodzą święta Bożego Narodzenia? Poradzę się Świetlistego Trapezoedronu, czy jak mu tam.

TRAPEZOEDRON:
Cthulhu fhtagn, Cthulhu fhtagn, Chulhu on the way...

MŁODY MI-GO:
Trapezoedronie, powiedz przecie, po co ludziom Święta na świecie?

TRAPEZOEDRON:
Albowiem w dniach, które giną w odmętach czasu, Gwiazdka pojawiła się na niebie i zwiastowała Nadejście.

MŁODY MI-GO:
Nadejście? A niech to!

TRAPEZOEDRON:
Zaiste, a niech to! Jednakże wiedzieć o tym powinieneś, że Boże Narodzenie starsze niż ludzkość jest. Gdyż eony temu - w dniach, gdy Wszechświat nosił jeszcze pieluchę - święto zwane Yule obchodzone było. I w święto to, roku, gdy Gwiazdka Będzie Naprawdę W Porządku, Cthulhu przebudzi się i...

CHÓR:
Cthulhu fhtagn!

TRAPEZOEDRON:
Tak, dziękuję. Jak więc mówiłem, Cthulhu przebudzi się i...

CHÓR:
Cthulhu fhtagn!

TRAPEZOEDRON:
Tak, dziękuję. Więc, jak wspomniałem, Cthulhu przebudzi się i...

CHÓR:
Cthulhu fhtagn!

TRAPEZOEDRON:
Dziękuję! I zapanuje nad Ziemią, i tak dalej. Będzie pożoga, zniszczenie, zagłada i te wszystkie rzeczy z filmów klasy B, a Jego słudzy zostaną wynagrodzeni. Może chcesz wstąpić do Komitetu Wyborczego *Cthulhu na Prezydenta*? Można za to zyskać pięć punktów, które dodawane są do rankingu Dobrego Wyznawcy. Potem punkty można wymienić na zniżkę w wypożyczalni DVD, tańsze paliwo i zakupy w supermarkecie. Poza tym dostajesz gratis fajną zieloną czapeczkę z mackami i pluszaka.

(Trapezoedron wręcza Mi-Go ulotkę)

MŁODY MI-GO *(chowając ulotkę w kieszeń pod skrzydłem)*:
No dobrze. A jak zapobiec Nadejściu? Bo wiesz, nie widziałem jeszcze trzeciego epizodu Gwiezdnych Wojen, a założyłem się z kumplem, że Amidala rodziła przez cesarskie cięcie.

TRAPEZOEDRON:
Wiesz, to nie takie proste. Wielu już przed tobą próbowało. Najpierw musisz przeprowadzić śledztwo. Potem odkryć źródło Zła i zapobiec mu, nie popadając przy tym w szaleństwo.

MŁODY MI-GO:
Tylko tyle?

TRAPEZOEDRON:
Prawie. Musisz jeszcze otrzymać List od Przyjaciela i pisać pamiętnik podczas badania tajemnicy Nadejścia. I strzeż się, albowiem Gwiazdka potężnego strażnika posiada, który równie stary jest jak Cthulhu.

CHÓR:
Cthulhu fhtagn!

TRAPEZOEDRON:
...a imię jego Fhtrxms!

MŁODY MI-GO:
Fatzrksmas?

TRAPEZOEDRON:
W zasadzie tak, ale poćwicz akcentowanie drugiej sylaby.

MŁODY MI-GO:
Jeszcze jakieś wskazówki? Od czego powinienem zacząć?

TRAPEZOHEDRON:
Poszukaj wpierw informacji o Yule. Myślę, że kroniki marsjańskie mogą zawierać pewne ważne informacje.

MŁODY MI-GO *(wychodząc)*:
Niech Azathoth prostuje twe ścieżki!

(Sala Trapezoedronu ginie w pożodze nuklearnego chaosu. Młody Mi-go odlatuje łopocząc swymi błoniastymi skrzydłami. Przemierza gwiezdne przestrzenie, cudem unikając śmierci w zderzeniu z dryfującą w przestrzeni piramidą. W końcu dociera na Marsa, gdzie natychmiast udaje się do biblioteki.)

Scena 2

(Marsjańska biblioteka. Wszędzie pełno zakurzonych książek.)

MŁODY MI-GO *(przestępując próg biblioteki)*:
Oto jestem!

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Ciiii... Właśnie ułożyłem księgi do snu.

CHÓR:
Księgi fhtagn!

MŁODY MI-GO (szeptem):
Poszukuję informacji o Yule. Czy możesz mi pomóc?

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
A więc bracie, szukasz Yule? To było w czasach Ultima Thule! Gdy cthulhtyści młodzi, śmiali, z Karotechią się ścierali.

MŁODY MI-GO:
Z Karotechią?

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Tak, z Karotechią. To był taki starożytny kult miłośników karotenu. Jedli wciąż marchewki i ubierali się na czarno.

MŁODY MI-GO:
Dlaczego na czarno?

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Armani szył im garnitury.

MŁODY MI-GO:
Aha.

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Ponoć kult przetrwał w szczątkowej formie w dżunglach Ameryki Południowej.

MŁODY MI-GO:
Czyli tam powinienem teraz szukać?

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Nie wiem, ja tu tylko odkurzam książki. Ale mam dla ciebie List od Przyjaciela.

(Wręcza list Młodemu Mi-go. Ten czyta go na głos.)

MŁODY MI-GO:
"Drogi Przyjacielu. Kreślę te słowa w wielkim pośpiechu, gdyż obawiam się o własne życie. Prowadząc me poszukiwania zaginionych artefaktów dawno zapomnianych cywilizacji, zbudziłem siły, które na zawsze powinny zostać w uśpieniu."

CHÓR:
Siły fhtagn!

MŁODY MI-GO *(kontynuując czytanie)*:
"Teraz musze wyjechać na miejsce wykopalisk w F...[zamazane czarnym flamastrem], by spróbować zażegnać grożące nam wszystkim niebezpieczeństwo. Tam się spotkamy, gdyż liczę, że wspomożesz mnie swą radą i doświadczeniem - i siłą kuli karabinowej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Twój Przyjaciel."

BIBLIOTECZNY MI-GO *(bawiąc się yo-yo)*:
Byłem kiedyś w F...[zamazane czarnym flamastrem]. Przywiozłem żonie kilka mózgów w słoikach na pamiątkę.

Ech, Mi-go był młody i nawet się chciało podróżować, nie to co teraz.

MŁODY MI-GO:
To ja lecę. Miłych eonów!

(Odlatuje, głośno trzepocząc swymi błoniastymi skrzydłami. Kieruje się na Ziemię, w samo serce amazońskiej dżungli, zwane F...[zamazane czarnym flamastrem]. Ląduje pośród pradawnych ruin z czasów, gdy Ziemia była jeszcze młoda, a Wielki Wybuch wciąż bawił się grzechotką.)

Scena 3

(Pradawne ruiny porośnięte winoroślą, lianami, pnączami, storczykami i pokryte kurarą)

MIB *(ubrany w garnitur od Armaniego)*:
Halt!

MŁODY MI-GO:
Que pasa?

MIB:
W imieniu Karotechii skazuję Cię na śmierć! Chyba, że.... dasz mi MOC!

MŁODY MI-GO:
Moc? Chcesz być Jedi? Myślisz, że Amidala będzie mieć cesarkę? Bliźniaki to nie przelewki.

MIB *(zbity z tropu)*:
Ty nie jesteś Bluźnierczym I Nienazwanym Bytem Z Gwiazd, Który W Zamian Za Ofiarę Dziesięciu Tysięcy Dziewic Da Mi Moc?

MŁODY MI-GO:
Nie?

MIB:
A to przepraszam. Hans jestem. W czym mogę pomóc?

MŁODY MI-GO:
Szukam Gwiazdki.

MIB:
Aj waj!

MŁODY MI-GO:
Widzę, że ją znasz.

MIB:
Ja, naturlich. To znaczy, unsere Führer chciał ją kiedyś przyzwać i spętać, a potem zdominować, skuć kajdankami i...

MŁODY MI-GO:
I...?

MIB:
Znaczy się chciał posiąść jej moc.

MŁODY MI-GO:
Czyli istnieje rytuał Przyzwania/Spętania Gwiazdki?

MIB:
Owszem. Lecz wpierw należy pokonać jej przedwiecznego strażnika.

MŁODY MI-GO:
Fhtrxms?

MIB:
Tego samego. Jest on najpotężniejszym ze Środkowych Bogów.

MŁODY MI-GO:
Czy ma jakąś słabość? Skoro dein Führer chciał przywołać/spętać Gwiazdkę, musi być jakiś sposób, by pokonać Fhtrxms.

MIB:
Niestety, nie jest mi on znany. Unsere

Wojtek "Condrad" Kondradzki

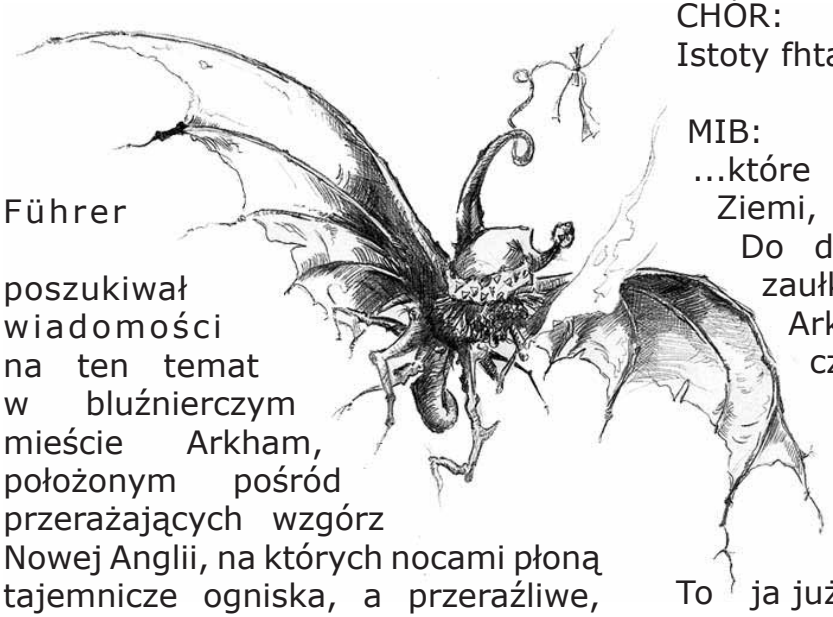

Führer poszukiwał wiadomości na ten temat w bluźnierczym mieście Arkham, położonym pośród przerażających wzgórz Nowej Anglii, na których nocami płoną tajemnicze ogniska, a przeraźliwe, nieludzkie wycia niosą się wraz z wiatrem przy każdej pełni księżyca. W Arkham - niech nazwa ta będzie po trzykroć przeklęta - jest Uniwersytet Miskatonic, nazwany tak od rzeki, której trujące wody płynące przez miasto kryją w swych głębinach przerażające, nienazwane i trudne do wymówienia koszmary spoza czasu i przestrzeni. Są tam rzeczy, których ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć, a widok, choćby przelotny, tych bytów, potrafi wpędzić w szaleństwo, przy którym śmierć jest łagodnym wybawieniem. Śpią tam istoty...

CHÓR:
Istoty fhtagn!

MIB:
...które eony temu chadzały po Ziemi, mieniąc się jej władcami. Do dziś jednak w mrocznych zaułkach wąskich uliczek Arkham przemykają członkowie zapomnianych kultów, oddający cześć pradawnym panom planety, którzy zbierają siły i...

MŁODY MI-GO:
To ja już polecę.

(Młody Mi-go oddala się dyskretnie, pozostawiając MIBa samego z jego monologiem, po czym wzbija się w przestworza i przy pomocy swych silnych, błoniastych skrzydeł rusza w stronę Arkham.)

Scena 4

(Uniwersytet Miskatonic. Pomieszczenie pełne jest książek, na podłodze widać wielką plamę o kolorze zgniłego mięsa.)

MŁODY MI-GO:
Cthulhu fhtagn!

KSIĄDZ PROFESOR WEST *(nie przerywając klejenia wielkiej księgi)*:
Na wieki wieków. Co tam, Mi-go, w polityce?

MŁODY MI-GO:
Shantaki trzymają się mocno, ojcze profesorze.

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
To dobrze, to dobrze. Możesz mi podać klej?

MŁODY MI-GO *(zaglądając uczonemu przez ramię)*:
Można zapytać, co ksiądz profesor robi?

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Reanimuję Nekrometrykon. Wczoraj kilka zombie uciekło z laboratorium i jeden z nich próbował wyrwać swoją metrykę z rejestru - popatrz, rozdarł trzy strony. Musiałem rozwalić mu mózg - strasznie nabrudził.

(Wskazuje plamę na podłodze. Przez chwilę obaj kontemplują ten widok.)

MŁODY MI-GO:
Prowadzicie rejestr wszystkich zombie?

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Nie tylko. Ghule też mają swoje metryki. Ale więcej z nimi kłopotu niż pożytku.

MŁODY MI-GO:
Problemy z karmą?

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Nawet nie. Ale sęk w tym, że Ghulowi łatwiej przebić numery nadwozia. Jak tworzysz zombie, to wpisujesz mu numerek w ciało i spokój - możesz nawet mosiężna tabliczkę znamionowa przybić, jeśli chcesz. A taki ghul to nie dość, że bydlę ciężkie do kontrolowania, to jeszcze może ci poleźć do salonu tatuażu i kazać numer przerobić. Albo całkiem wywabić. Potem ucieka do kanałów i szukaj wiatru w polu. Przeklęte świadome trupojady.

MŁODY MI-GO:
To rzeczywiście problem. Ale chyba nie stanowią przez to większego zagrożenia?

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Sam nie wiem. Ponoć ktoś je uczy czarów. Niektórzy twierdzą, że ghule stały się nieznaną armią mieszkającą w podziemiach naszego świata. Wiesz, taki undergraundowy okultyzm. Ale póki co siedzą cicho.

MŁODY MI-GO:
To dobrze. A wie może ksiądz profesor coś o Fhtrxms i Gwiazdce?

KSIĄDZ PROFESOR WEST *(mierząc Młodego Mi-go podejrzliwym wzrokiem)*:
A czemuż to pragniesz poznać Zakazaną Wiedzę?

MŁODY MI-GO *(łżąc jak z nut)*:
Chciałem im zrobić niespodziankę w Sylwestra. Wie ksiądz profesor, starzy znajomi. Tylko adres zgubiłem.

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
A nie kręcisz ty nic?

MŁODY MI-GO *(z mina niewiniątka)*:
Ja?

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Ty, ty.

MŁODY MI-GO:
Ależ księże profesorze, co ksiądz profesor.

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
To ja przepraszam. Gwiazdkę znajdziesz w Kawiarni Bez Kantów. To tuż za rogiem.

MŁODY MI-GO:
Dziękuje bardzo. Myślę, że trafię.

KSIĄDZ PROFESOR WEST:
Powodzenia.

(Ksiądz profesor wraca do klejenia księgi, zaś Młody Mi-go opuszcza uniwersytet łopocząc swymi błoniastymi skrzydłami, na których przemierza nieskończone otchłanie kosmosu. Potem spacerkiem pokonuje drogę z uniwersytetu do kawiarni)

Scena 5

(Kawiarnia Bez Kantów. Nad barem wielki napis: Ogarów wprowadzać nie wolno!)

MŁODY MI-GO *(rozglądając się ciekawie)*:
Oto kres mojej wędrówki. Za chwilę dokonam niemożliwego i zatrzymam Nadejście w pół kroku.

GWIAZDKA:
A więc przybyłeś!

MŁODY MI-GO:
Tak! I powstrzymam Zło, które chcesz uczynić temu światu!

GWIAZDKA:
Nie powstrzymasz mnie! Jestem już W Porządku! Nawet podatki zapłaciłam!

MŁODY MI-GO:
Nie uczynisz tego, co chcesz uczynić!

GWIAZDKA:
Fhtrxms! Bierz go!

(Znikąd pojawia się bluźniercza i nieopisywalna postać z wielkim brzuchem i długą, biała brodą, ubrana w czerwony kubraczek i podzwaniająca dzwonkiem.)

FHTRXMS:
Ho! Ho! Ho!

MŁODY MI-GO *(rozpościerając skrzydła w pozycji bojowej)*:
Nie boję się ciebie!

FHTRXMS *(kręcąc się wokół siebie i dzwoniąc dzwonkiem)*:
Ringing Bell Attack!

MŁODY MI-GO *(sięgając do kieszeni pod skrzydłem i wyjmując niewielką książkę)*:
Królu w Zółci! Wybieram cię!

(Następuje oślepiający błysk światła. Obie potęgi anihiluja siebie nawzajem, niszcząc przy okazji Kawiarnię Bez Kantów. Zaczyna padać śnieg.)

GWIAZDKA:
Ups.

MŁODY MI-GO:
Gwiazdko, po co to wszystko? Dość już wojen, dość cierpienia. Przecież możemy się dogadać, pójść na piwo, pojeździć na sankach. To nie musi się tak skończyć. Nikt nie musi już ginąć. Czas przerwać ten krąg krwi.

GWIAZDKA *(płacząc)*:
Masz rację. Dopiero teraz widzę, co chciałam uczynić i jaka byłam w przeszłości. Zrobię wszystko, by odkupić me winy.

MŁODY MI-GO:
A mogłabyś sprawić, żeby Cthulhu się nie obudził? Taki ładny śnieg spadł. Szkoda by było.

GWIAZDKA:
Ależ oczywiście. Wyłączę budzik.

MŁODY MI-GO:
Równa z Ciebie gościówa. Jesteś Naprawdę W Porządku, Gwiazdko

(Gwiazdka wyjmuje z kieszeni duży zegar z kukułka i ukręca ptakowi łebek. Cthulhu dalej śpi. Pada śnieg. Wszyscy się cieszą)

CHÓR:
Stary Cthulhu mocno śpi.

NARRATOR:
I tak oto Młody Mi-go sprawił, że Boże Narodzenie, zwane również Yule, nie stało się dniem triumfu Cthulhu. Na Ziemi zapanowało szczęście i radość, zaś na Yuggoth odświętnie przystro-

jono wszystkie słoiki z mózgami. Każdy mózg dostał też kilka fajerwerków i lampkę szampana, by mógł za parę dni uczcić Nowy Rok. Nawet Hastur w tym dniu uśmiechnął się i założył czerwoną czapeczkę z białym pomponem, po czym zapakował worek prezentów i udał się na Płaskowyż Leng, by pośpiewać kolędy.

GŁOS Z OKOLIC ALDEBARANA:
Hmm...

CHÓR:
Kto Hastura nie posłucha, tego Hastur wnet...

(Pojawia się Hastur w czerwonej czapeczce z białym pomponem i eksterminuje chór. Po chwili rozlega się głos sprzed eonów, powtarzający cyklopowe wersy w mrocznym, pozaczasowym rytmie. Słowa w bluźnierczym języku spoza czasu wypełniają mrok między gwiazdami)

CHÓR *(z zaświatów)*:
O Tannenbaum, o Tannenbaum,
Wie treu sind deine Blätter.
Du grünst nicht nur zur Sommerzeit,
Nein, auch im Winter, wenn es schneit.
O Tannenbaum, o Tannenbaum,
Wie treu sind deine Blätter.

KONIEC